

# KORFANTÓWKA

Jednodniówka Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfanteo

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Katowice ul. Teatralna 4, WYDAWCA: Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfanteo



Wiktoria Lipińska – Siła Woli Ślązaka

# KONKURS „KORFANTASTIC”

**Rok 1922 był kulminacją polskich starań niepodległościowych na Górnym Śląsku – wysiłku plebiscytowego oraz trzech powstań śląskich. Choć przyznany Polsce obszar stanowił jedynie około 29% obszaru objętego plebiscytem, to był on zamieszkany przez populację około miliona osób (ok. 46% populacji Górnego Śląska) i znajdowała się na nim większość nowoczesnego przemysłu.**

Pierwszym krokiem w stronę unormowania stosunków i finalizacji nadchodzącego podziału regionu było podpisanie 15 maja Polsko-Niemieckiej Konwencji Górnośląskiej (tzw. konwencji genewskiej), która miała regulować na okres piętnastu lat warunki życia na podzielonym Górnym Śląsku (regulacje objęły zarówno zagadnienia życia codziennego mieszkańców, jak i problematykę gospodarczą – np. podział sieci energetycznej).

Dopiero 15 czerwca po zawarciu wstępnych porozumień i zakończeniu negocjacji dotyczących sposobu przekazania Polsce i Niemcom przyznanych terenów plebiscytowych wojska ententy zaczęły przygotowania do wycofania się z obszarów, na których dotychczasowo stacjonowały. W czerwcu na Górny Śląsk wkroczyły wojska polskie. 20 czerwca o godzinie 8 rano oddziały pod dowództwem generała Stanisława Szeptyckiego uroczyście przekroczyły rzekę Brynicę w Szopienicach. W trakcie przekraczania mostu symbolicznie rozkuto łańcuch reprezentujący niemiecką dominację na Górnym Śląsku, odspie-

wano Rotę i Mazurek Dąbrowskiego. Wojsko skierowało się w stronę Katowic, po drodze przekraczając trzydzieści bram triumfalnych. W mieście odbyła się uroczysta defilada, której towarzyszyły przemówienia polityków i osób zasłużonych dla obozu polskiego. W kulminacyjnym momencie obchodów gen. Szeptycki otrzymał z rąk powstańców śląskich wielki, dziesięciokilogramowy miecz, który wykonano w fabryce maszyn Skubali w Józefowcu. Widniała na nim inskrypcja: „Składa się w dniu wkroczenia wojsk polskich na Górnym Śląsku, wkraczającemu generałowi – powstańcy grupy Fojkisa. Czerwiec 1922”.

Zajęcie przyznanej Polsce części Górnego Śląska nie było natychmiastowe, zamiast tego proces pojawiania się sił polskich miał charakter gradualny, stopniowy i był rozłożony na wiele dni – trwał aż do pierwszych dni lipca. Jeszcze dłużej (ze względu na złożoność problemu) trwał wysiłek administracyjno-dyplomatyczny, który miał na celu finalizację podziału. Dopiero 16 lipca podpisano w Katowicach Akt Objęcia Górnego Śląska przez Polskę.

Trzymając Państwo w rękach numer specjalny „Korfantówki” – jednodniówki Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego w Katowicach, który w pełni poświęcony jest wyróżnionym pracom literackim i graficznym nadesłanym na drugą edycję konkursu „Korfantastic”. Są to teksty kultury mieszczące się w ramach szeroko rozumianej fantastyki – science fiction, fantasy, horror. Niezależnie od obranej konwencji wszystkie jednak mają jeden punkt wspólny: osadzenie w historii i folklorze Górnego Śląska. Między wierszami poszczególnych opowiadań pojawia się Wojciech Kor-

fanty (pod różnymi postaciami); są też powstańcy śląscy, którzy posługują się niezwykłą, zdecydowanie odmienną od naszej technologią; jak i obecne są tajemnicze istoty znane z górnośląskiego folkloru – beboki. Elementy folkloru, historii i wyobraźni zostały z sobą przemieszane i tworzą bardzo interesującą całość. Autorzy w ramach konkursu otrzymali możliwość tworzenia historii alternatywnych i dowolnego wykorzystania przeszłości Górnego Śląska jako źródła inspiracji dla swoich podróży wyobraźni w daleką przyszłość, „dziwną” przeszłość czy też do innych światów.

Druga edycja konkursu cieszyła się znacznym zainteresowaniem, większym niż prekursorski zeszłoroczny „Korfantastic”. Przełożyło się to na większą liczbę nadesłanych i wyróżnionych prac. Jest to rzecz radosna, ponieważ konkursy również takie jak ten, traktujący materiał historyczny ze swobodą, są pewną formą utrwalania w świadomości publicznej wydarzeń ważnych dla historii Górnego Śląska oraz przyczyniają się do upowszechniania wiedzy o bogatej przeszłości regionu.

Podobnie jak rok temu na konkurs zaprosiliśmy uczestników do nadsyłania prac w dwóch kategoriach literackiej i plastycznej. Pierwsza obejmowała opowiadania historyczno-fantastyczne inspirowane historią regionu, w szczególności okresem niepokojów związanych z plebiscytem i powstaniami. Kategoria plastyczna wymagała od uczestników przesłania grafik inspirowanych powyższą tematyką.

## WYNIKI KONKURSU „KORFANTASTIC”

Jury składające się z pracowników Działu Historii pod moim przewodnictwem postanowiło w kategorii **LITERACKIEJ** nagrodzić następujące opowiadania:

*Baza* – Grzegorz Czapski  
*To nadejdzie z głębi* – Agata Francik,  
**Marcin Bartosz Łukasiewicz**  
*Test Wawelberga* – Emil Zawadzki

Ponadto zdecydowaliśmy się wyróżnić osiem dodatkowych utworów:

*Plan Coor-Fantera* – Przemysław Karbowski  
*Flugzeug?! – Kamil Bednarek*  
*Który?* – Małgorzata Sikora  
*Lisioł powstańcem* – Lisioł  
*Opiekun spod Świętej Anny* – Jakub Pawełek  
*Korfant-Team* – Adrian Musiał  
*Bogucice* – Dominik Majcher  
*Jak Wojtech o Śląsk wojo-wał* – Dariusz Bednarczyk

W kategorii **PLASTYCZNEJ** nagrodziliśmy jedną grafikę:

*Siła woli Ślązaka* – Wiktoria Lipińska

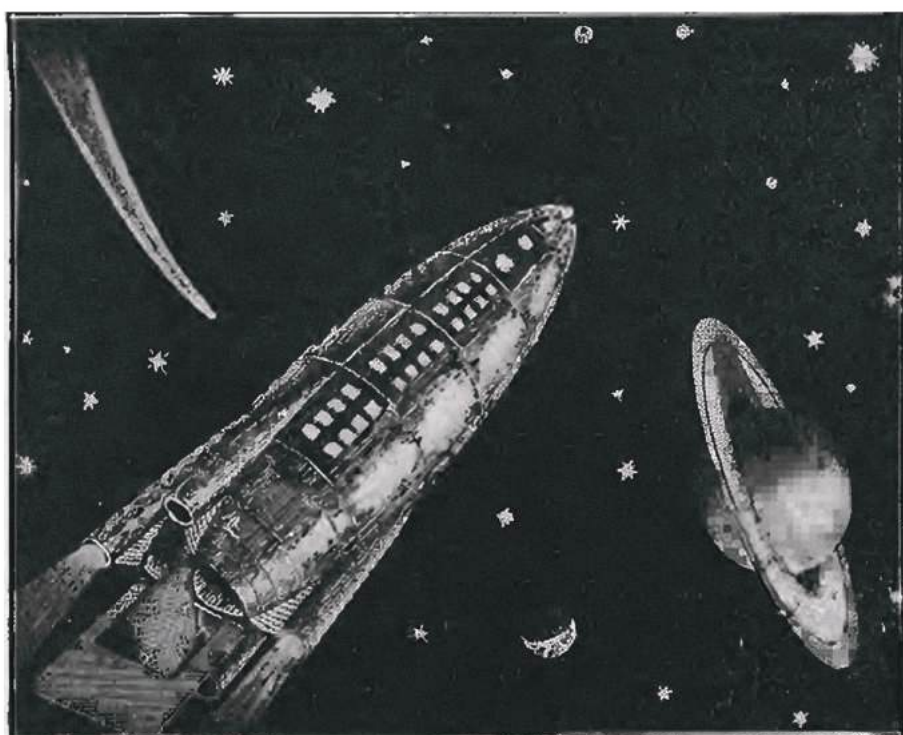
Ponadto zdecydowaliśmy się wyróżnić dwie dodatkowe grafiki:

*Trzyskrzydła* – Bartłomiej Ogonowski  
*Anioł Powstańca Śląskiego* – Julia Hamryga

Podobnie jak rok temu czytelnicy „Korfantówki” mogą zapoznać się ze wszystkimi wyróżnionymi pracami. Tekstom towarzyszą klimatyczne grafiki z dwudziestolecia międzywojennego utrzymane w stylistyce szeroko rozumianej fantastyki i ekspresjonizmu.

Gratulujemy Laureatom!

dr Michał Spurgiasz



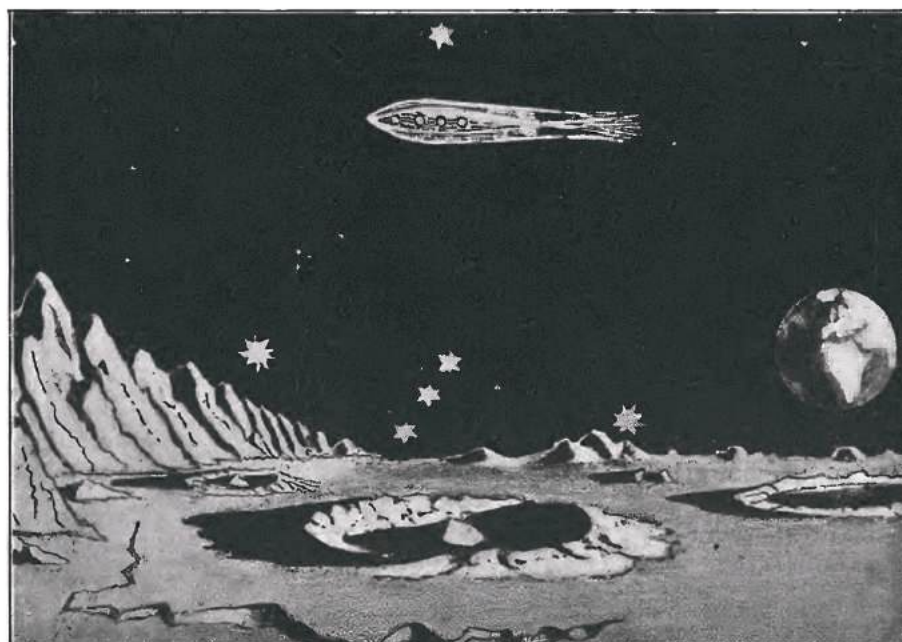
W drodze z ziemi ku planetom, „Naokoło Świata” 1928, nr 54, s. 25. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.



Bartłomiej Ogonowski – *Trzy skrzydła*



Julia Hamryga – *Anioł Powstańca Śląskiego*



*Przelot nad kraterami księżyca, „Naokoło Świata” 1928, nr 54, s. 23. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.*

# BAZA

Hubert odetchnął, gdy dźwięki po drugiej stronie drzwi ucichły. Przyłożył czoło do ściany. Chłód stali i tworzyw sztucznych działał kojąco, lecz spokój był tylko chwilowy, bowiem tamci mogli wrócić w każdej chwili. Od kilku godzin bronił jedyne wejście do bazy przed cyfrowymi próbami otwarcia. Raz za razem odpierał ataki hakerskie, odbijając je jak piłeczkę. Ze zmęczenia miał trudności z myśleniem i coraz częściej mylił linie kodu. Na szczęście, to tamci pierwsi się znudzili. *Ale na jak długo? Myślał. Znajdą inny sposób, by dostać się do środka kopuły i przejąć kontrolę nad kompleksem.*

– Jak się trzymasz Hubert? – odezwał się żeński głos za jego plecami.

Odwrócił się. Amelia stała odziana w kombinezon w niebieskie i żółte poprzeczne pasy. Jej zmartwiony wyraz twarzy powiedział mu wszystko.

– Wyciągają ciężki sprzęt? – zapytał beznamiętnie, nie mając siły wykrzesać z siebie emocji.

– Tak. Szykują się do wypalenia dziury w drzwiach. Chłopaki już grzeją spawarki i przenośne drukarki na regolit, ale... Na Boga, Hubert, oni chcą nas zabić.

Milczał. Minął ją i usiadł w kącie, opierając plecy o ścianę. Raptem zakrył twarz dłońmi. Nie chciał pokazywać, że i jego ogarnia panika, a ta potrafiła rozprzestrzeniać się niczym zaraza. Zatruchiła serca wątpliwościami, gdyby teraz do końca stracili wolę walki, to zaprzępaściliby wszystko.

Całość układała się dla nich źle. Zostali zaskoczeni, dlatego zewnętrzne drzwi śluzy zostały przejęte. Fakt, że chcą się przebić przez wewnętrzne, oznaczało, że nie zamierzają już bawić się w półśrodki. W efekcie powstania dziury całe powietrze i ciśnienie w bazie wyleci w kosmiczną próżnię. Eksplozyjna dekompresja załatwi resztę, rozsadzając im płuca. Zmuszało to załogę do założenia skafandrów kosmicznych, których używali, gdy wychodzili na powierzchnię Księżyca.

*A potem co? Myślał. Nie wiadomo, ile jeszcze Komisarzowi zajmie postępowanie wyjaśniające na Ziemi. Zresztą, czy warto się łudzić? Ci nie czekali na wyjaśnienia błędów oraz uwag i przyjęli wynik plebiscytu od razu. Szlag, to wszystko musiało być ustawione.*

Zgodnie z kolejną wersją traktatu o przestrzeni kosmicznej, każda baza narodowa, jeśli jej pracownicy wyrażą taką wolę w plebiscycie, mogła wybrać jedną z dwóch opcji. Pozostawić wszystko po staremu i dalej działać

jako baza górnicza konkretnego państwa lub ogłosić niepodległość, jako spółka pozaziemska. Wszystko po to, by ograniczyć wpływy poszczególnych państw w kosmosie. Wszystko na siłę, jak zwykle zresztą.

Henryk pamiętał poruszenie, jakie wtedy panowało. I tajemniczego biznesmena, który namawiał wszystkich do głosowania za nowym ładem. Budowę nowego, księżycowego społeczeństwa lunonautów. W oderwaniu od starego globu. Obiecywał, że wszystkie niepodległe firmy złączą się w jedną wielką korporację, a może nawet w coś więcej. Polski Komisarz, w imieniu zarządu i Skarbu Państwa również obiecywał tak zwane „Krówki”, czyli dodatkowe pakiety finansowe i benefity. Nikt nie brał tych dodatkowych premii na poważnie, uważając, że głosowanie za pozostaniem kompanią narodową jest słuszne. W żadnej z dyskusji nie pojawiła się myśl, by zagłosować inaczej.

W dniu ogłoszenia wyników całą załogę ścięło z nóg. Raptem na elektronicznej liście płac pojawiła się setka nieznanych nazwisk, oczywiście głosująca za oddzieleniem od Ziemi. Zaraz potem nowa Rada Nadzorcza, której nikt z obecnych w bazie nie wybierał, ogłosiła natychmiastowe dołączenie do inicjatywy ZRK. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Komisarz wybiegł z bazy, a potem wystrzelił się w rakiecie prosto na Ziemię. Zrobił to w ostatniej chwili, bowiem siły owego ZRK od razu przystąpiły do zamknięcia najbliższej przestrzeni kosmicznej wokół księżyca oraz blokowania wszelkiej łączności. Od tygodnia polska baza była oblężoną twierdzą.

Wtem wściekle syczenie spowodowało go do rzeczywistości. Na drzwiach do śluzy pojawił się drobny, jasny punkcik, który zaczął powoli rosnąć. Przybierając to wpierw barwę ciemnej czerwieni, by zaraz przeistoczyć się w jasną żółć.

Hubert zerwał się z miejsca i krzyknął do komunikatora na ręce.

– Do cholery, pospieszcie się! Przebijają się!

– Jesteśmy tuż za rogiem – odpowiedział mu głos głównego inżyniera.

Faktycznie, ledwo się rozłączył jak zaraz za nim pojawiła się sylwetka głównego inżyniera. Prowadził zastęp kobiet i mężczyzn w identycznych kombinezonach. Prawie całą załogę bazy. Nieśli ze sobą wszystko. Panele, spawarki, nity i nie tylko. Hubert dostrzegł, że niektórzy niosą nawet zapasowe meble z magazynów. Widać brali wszystko, co mogło się przydać

do zatarasowania przejścia. Bardziej symboliczne niż praktyczne, ale w tym przypadku liczył się gest. Fakt, że nikt nie chce oddać tego miejsca bez walki.

Przez te kilka chwil, które były potrzebne załodze na przytarganie sprzętu, punkcik przeistoczył się w szkarłatny łuk. Równym tempem plazma przepalała się przez warstwy stali i tworzyw sztucznych, sycząc coraz głośniej. Uciekające coraz szybciej powietrze smagało skórę twarzy i włosy.

Pod dowództwem głównego inżyniera budowa blokady przebiegła sprawnie. Najpierw przyspawanie płyt. Potem rzucenie mebli, a na koniec zalanie tego wszystkiego grubą warstwą piany regolitowej. Tą ostatnią stosowano głównie na zewnątrz, do budowy przy pomocy dużych drukarek 3D. Dlatego poza spawaniem napastnicy będą musieli zmarnować również czas na kucie. To kupi powstańcom trochę czasu, choć niewiele.

Zamilkli po wszystkim. Nasłuchiwali. Głuchy łoskot rozległ się po drugiej stronie, gdy tamci wycięli otwór w drzwiach. Ktoś przeklął siarczyście po angielsku. Potem nic się nie działo, ale nikt z Polaków nie śmiał nawet pisnąć.

Raptem trzask i chrzęsty dobiegające z wentylacji i wymienników powietrza zmroził im krew. Alina podeszła do najbliższego. Drobne okruchy regolitu spadły na podłogę, niczym ziarna czasu przybliżające koniec ich obecności w bazie.

– Pierony! Chcą nas udusić! – Zakrzyknął główny technik. – Wstrzyknęli pianę regolitową do wentylacji. Cały system się zaraz zapcha.

– Chcą nas wykurzyć – odpowiedział mu spawacz.

– Komisarz nas nie zawiedzie. – Odparł Henryk, choć sam do końca nie wierzył w to, co mówił. – Musimy

wytrzymać, do końca.

Wtem przez głośniki odezwał się obcy głos. Widocznie ktoś mocno pracował, by spróbować obejść ich systemy i udało mu się przebić przez firewall'e

– Tu Antonio Ramirez ze Zjednoczonej Republiki Księżycowej. – mówił po angielsku. – Poddajcie się, przyjmijcie nasze zwierzchnictwo lub pozwólcie odeskortować się na Ziemię. Zgodnie z wynikami plebiscytu zagłosowaliście za niepodległością, a wasi zwierzchnicy zgodzili się dołączyć do ZRK. Wasze działania są nielegalne i służą tylko sabotażowi naszej młodej republiki. Powtarzam...

Nie czekając napastnicy z ZRK rozpoczęli kucie. Załoga popatrzyła po sobie, a potem na głównego inżyniera. Jego blada twarz wyglądała, jakby zastygła na zawsze.

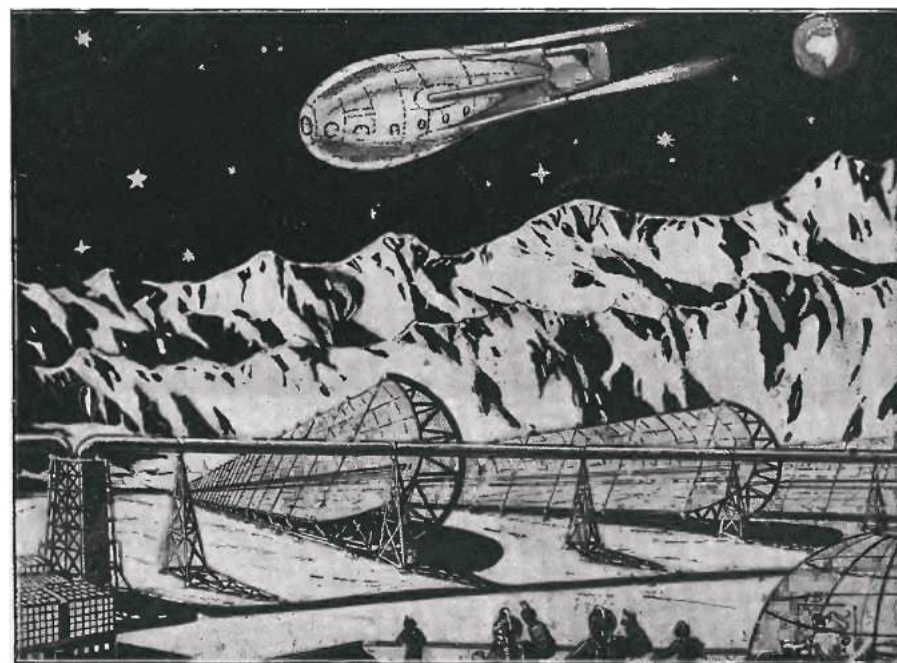
– Zakładać skafandry. Jak się przebijają, to nas zabijają. – rzekł cicho. – Jednak nie poddamy się.

W milczeniu się zgodzili. W końcu mieli jeszcze sprzęt górniczy, który mogli twórczo wykorzystać. Obrona trwała jeszcze pół ziemskiego dnia. Przypominało to grę. Tamci kuli, a Polacy zalewali regolitem kolejne części korytarza. Wymienniki powietrza zapchały się już całkowicie, a zbiorniki w skafandrach zaczęły krzyczeć o kończącym się zapasie. Wszyscy pogodzili się, że przyjdzie im tu zginąć w słusznej sprawie.

Wtem.

– Tu Komisarz Korfanty. Baza Śląsk oficjalnie zostaje polską placówką wydobywczą na Księżycu. Przepraszam, że tyle to trwało, ale pieruny były mocne. Jednak nadal niewystarczająco mocne na Polaków.

Grzegorz Czapski



Ewentualna wizyta na Marsie, „Naokoło Świata” 1928, nr 54, s. 23. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.

# TO NADEJDZIE Z GŁĘBI

Krew powoli spływała po dłoniach Zynka. Chłopak zaciskał pięści tak mocno, że połamane paznokcie przebijają brudną, zahartowaną mimo młodego wieku skórę. Kropelki znały całą drogę, którą przebył od rana: szlak zaczynał się w niewielkim mieszkaniu, położonym w jednym z pokrywających okolicę familoków i ciągnął przez kilka ulic, by skończyć się wejściem do szybu.

Wnętrze kopalni było dokładnie takie jak w opowieściach ojca Zynka. Chociaż chłopak nigdy wcześniej nie był pod ziemią, rozpoznał stemple i wyciąg, tak często goszczące we wspomnieniach rodzica. Kiedy jednak przywykł do rozświetlanego zapyłonymi lampami półmroku, zauważył obcy element.

– Ki diobol? – Rzucił półgłosem na widok szlabanu, uzbrojonych pograniczników i budki z urzędnikiem sprawdzającym papiery.

– To? – Zaśmiał się idący w tym samym kierunku górnik, aparycją przypominający wspomnianego diobola. – Grenbuda, karlus.

– Czymu tu? Na grubie?

– Nyimce nowy granice zmajstrowali, to wciepny ligrenbudę i naszych sprawdzają, czy nic do Polski nie habią.

– A co tu habić? Jak? Wongiel po kieszeniach?

– Taki dryl. Pruski jeszcze.

Czerwone kropelki zrosiły ziemię jakby hojnie.

– Nyinerwuj się, chowie – powiedział górnik – ino papiery dej. I za mną leż, jeszcze biydy sobie napytosz. Alojz jestech.

– Zynek.

Chłopak nie pamiętał dalszej drogi. Półmrok, wszechobecny pył i duchota tylko wzmocniły jego złość. Kiedy dostał do ręki kilof, spojrzał z nienawiścią na strażnika. Ręce zaświerzbiły tak, że ledwo oparł się pokusie zagłębienia ostrza w zielonkawym mundurze okupanta. Alojz musiał to zauważyć, bo położył Zynkowi dłoń na ramieniu.

– Nyinerwuj się, chowie – powtórzył.

– Nyimce... – wycedził Zynek. – Nyimce mi fatra ubili.

– Przykro.

– Nyimce mi fatra ubili, a joteromom dla nych fedrować?!

– Czyszj, karlus – wysyczał Alojz. – I pódz przodem, kajinsze chopy. Jesteś harej, nikto za ciebie kilofem ki-

wać nie będzie.

– Kedy...

– Maść – powiedział górnik ostro, z naciskiem. – Bo nabiorą podejrzeń.

Zaintrygowany Zynek ruszył. Wściekłość wciąż trawiła jego żyły, ale postawny górnik odczekał chwilę, by chłopak mógł się uspokoić.

– Rozumisz – zaczął Alojz – to niy tak jak se forsztelujesz wszystko.

– Co żechse źle uwidzioł?

Zynek zaryzykował krótkie spojrzenie przez ramię, ale górnik utrzymał kamienne oblicze.

– Leżze do przodka i gęba na kłódkę.

Chłopak już otworzył usta, ale na widok okupanta skutecznie je zamknął. Spuścił głowę i ruszył przed siebie.

Początkowo wszyscy pracowali, jakby poprzedniej rozmowy nie było, od czasu do czasu wydając Zynkowi polecenia. Po kilku godzinach zmęczony chłopak zapomniał o sprawie, pochłonięty kopaniem.

– Dobra chopy – odezwał się po długim milczeniu Alojz, rozglądając się podejrzliwie. – Małowiela fajrant, trza się chytać za robota!

– Chytać? – Zdziwił się Zynek. – Przeca my się cołki dziyń chytomy.

– Aj karlus, niy o ta robota idzie, ino ta echt – odezwał się jeden z górników. – Dejmie ta karbidka.

Zynek posłusznie podał mężczyźnie lampę. Ten skierował ją w stronę ocienionej dotąd małej odnogi szybu. Górnik odsunął kawałek pogiętej blachy, odkrywając niski tunel i bez słowa wczołgał się do środka. Alojz ruszył za nim.

– Ty, karlus, dejpozor, czy kto nie lyzie.

Chłopak odwrócił się i nasłuchiwał, kiedy reszta zagłębiała się w przepiekcie coraz bardziej. Po chwili głosy górników przycichły i został sam. Przez moment stał nieruchomo, ale nie wytrzymał i nachylił się nad tunelem. Jego koniec ginął za zakrętem.

Z oddali Zynek słyszał stłumione odgłosy. Skupił się na nasłuchiowaniu tak mocno, że przestał zwracać uwagę na otoczenie; z przekopu dobiegały dźwięki uderzeń o kamień i niewyraźne rozmowy.

– Wosinddie Arbeiter?! – Strażnik huknął Zynkowi do ucha.

Chłopak aż podskoczył ze strachu. Niechcący uderzył głową w brodę pochylonego nad nim Niemca, tak moc-

no, że okupantowi zadzwoniły zęby. Zynek zamarł, kiedy strażnik spojrzał na niego wściekle i podniósł karabin...

Wtedy z tunelu dobiegły ich wrzaski.

Hałas odwrócił na moment uwagę Niemca. Chłopak przestał myśleć nad tym, co rozsądne; przypomniał sobie skatowanego ojca, poprawił uchwyt na stylisku i zamachnął się potężnie, wbijając kilof w oko strażnika. Mężczyzna znieruchomiał. Zynek próbował wyciągnąć narzędzie, ale ostrze utkwilo głęboko w czaszce i zaklinoowało się na dobre.

Krzyki przybrały na sile. Chłopak porzucił kilof i złapał karabin okupanta, po czym wczołgał się do tunelu. W kompletnej ciemności kierował się w stronę wrzasków. Po kilku minutach zauważył światło, a potem upadł na kamienną podłogę.

W bladym świetle porzuconej karbidówki dostrzegł sporą grotę. Nie miał jednak czasu, by się rozglądać: jego kompanów atakowały wynaturzone, powykęcane stwory, tylko z grubsza przypominające ludzi w pokrytych grzybami łachmanach. Chłopak rozpoznał w nich wiedergängery ze staroniemieckich legend – nieumarłych, którzy pragnęli krwi. Górnicy odpierali zaciekle ataki, ale bronili się coraz rozpaczliwiej, kiedy narzędzia łamały się pod ciosami kłów i szponów. Zynek bez namysłu przyłożył karabin do barku i strzelił. Pocisk nie trafił żadnego z nieumarłych, jednak w szeregach stworów zapanał chaos. Wykorzystał to Alojz, który przedarł się przez tłum i dopadł do chłopaka.

– Kaj żeś to dorwoł, karlus? Mniejsza ło to! Dej mnie flintę, chytaj za kilof i dylaj. Byda cię osłanioł.

– Fedrować? Teroz?!

Alojz wcisnął stylisko do rąk Zynka.

– To nasza łostatnio nadzieja. Klupoj mocno i szybko, to może przeżyjemy.

Chłopak odwrócił się i zaczął uderzać w ścianę, naznaczoną licznymi bruzdami i otworami. Górnicy musieli nad nią pracować, kiedy zaskoczyli ich nieumarli. Słyszał wrzaski za plecami i czuł, że za moment skończy się jego życie.

Przez grotę przeszedł niski, przeciągły pomruk.

– Już małowiela! Fedruj, karlus!

Zynek nie od razu zrozumiał, że pomruk dochodzi zza ściany. Przyła-

dował w skałę z całej siły, a ostrze kilofa przeszło na wylot. Podniósł ramiona do kolejnego uderzenia, kiedy zauważył, jak przez dziurę przechodzi długi szpon.

Cofnął się mimowolnie o kilka kroków, co uratowało mu życie.

Ściana zawaliła się z hukiem, kiedy potężne łapy rozdarły kamień niczym bibułę. Wiedergängery zawyły i rzuciły się do ataku, jednak kilka szybkich uderzeń kosmatych dłoni definitywnie wycisnęło z nich życie. Zynek poczuł, jak zamiera na widok prostującego się beboka, rozciągającego zdrętwiałe przez lata snu mięśnie. Potężne, kilkunastometrowe cielsko i splątane futro nie onieśmieliły jednak Alojza, który powiedział pewnym głosem:

– Jesteś potrzebny. Starzik godoł, że jeśli Ślunsk byndzie w niebezpieczeństwie, możemy cię zawołać.

Bebok spojrzał na niego rozumnie czarnymi ślepiami. Zdawały się połyskać światło, była w nich nieskończona głębia nocnego nieba.

A potem potężny ryk przetoczył się przez całą kopalnię.

Górnicy nie musieli się czołgać, by wrócić do szybu – bebok podczas przejścia wybił wysoki na kilkanaście metrów korytarz. Zynek słyszał strzały, ale przez całą drogę do wyjścia nie zauważył ani jednego żywego Niemca. Chłopak zdążył jeszcze zobaczyć, jak bebok szeroką stopą rozgniała budkę graniczną, łamie szlaban, a potem kieruje się ku powierzchni.

Na odchodne Alojz poklepał go po plecach.

– No karlus, było blisko. Dobrze, żeś na czas przyložł. Lyż tyro drapko doma, familię powiadom. I rychtuj się, bo sam bebok rody niy da, trza mu dopomóc.

– Czyli...

– Ja, karlus, powstanie onaczymy! Za broń chytoma, walczyć o hajmat! Duch Ślunski się obudził!

Agata Francik  
Marcin Bartosz Łukasiewicz

# TEST WAWELBERGA



„Naokoło Świata” 1938, nr 175, s. 61. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.

Kapitan Tadeusz Puszczyński, znany również jako Wawelberg, kończył powoli drugie piwo w jakiejś obskurnej gospodzie na przedmieściach Raciborza. Poza nim w ciasnej sali przebywał jeszcze tylko właściciel, który przecierał gdzieś w kącie szklane kufle. Tadeusz specjalnie wybrał tak odludne miejsce, żeby w spokoju przemyśleć dalsze działania Grupy Destrukcyjnej Wawelberga. Tak nazywał się jego oddział, który od kilku tygodni przeprowadzał działania dywersyjne pod kryptonimem „Mosty”. To w Raciborzu mieli wkrótce znowu uderzyć i zniszczyć infrastrukturę kolejową. Tadeusz najchętniej przyłączyłby się do bezpośrednich walk o Śląsk, ale musiał wykonywać rozkazy.

Nagły błysk przerwał rozmyślenia mężczyzny. Gdzieś niedaleko huknęło głośno, a po chwili zgasło światło. Żołnierz zerwał się na równe nogi, sięgnął po pistolet i skoczył w stronę okna. Zobaczył tylko skąpany w ciemnościach Racibórz i kolejny błysk, kilka kilometrów dalej.

– Burza... – Burknął właściciel gospody. – Korki wywaliło. Pójdę sprawdzić. Niech pan siada, to nie Niemcy.

Wawelberg odetchnął z ulgą i usiadł ponownie na krześle. Dopiół piwo i czekał spokojnie w ciemnościach na powrót gospodarza. Minuty jednak mijały, a mężczyzna nie wracał. W końcu zniecierpliwiony żołnierz rzucił kilka banknotów na stół i po omacku ruszył w stronę wyjścia.

Drzwi rozwarły się nagle z hukiem, a w wejściu pojawiła się ogromna postać. Kolejna błyskawica rozproszyła na chwilę mrok i pozwoliła Tadeuszowi przyjrzeć się przybyszowi. W progu stał rosty, niemal dwumetrowy mężczyzna o szerokich barach. Głowę miał nienaturalnie przekrzywioną na bok, zupełnie jakby ktoś skręcił mu kark.

– Kto tam? – Zapytał Tadeusz

i odruchowo znowu sięgnął w stronę pistoletu.

– Rrrh... – Dziwny, gardłowy dźwięk wydobył się z ust nieznajomego. Olbrzym niezgrabnie wszedł do gospody i chwycił najbliższe krzesło. – Rrraaa! – ryknął ponownie i cisnął meblem w stronę Tadeusza.

Kapitan uchylił się zręcznie i zanurkował pod najbliższy stół. Obserwował stamtąd powłóczące nogi przybysza, który zaczął przewracać wszystkie stoły naokoło.

– Nie wiem, jaki masz problem, ale daję ci ostatnie ostrzeżenie! Uspokój się człowieku!

– Rrr... Rrraaa! – Olbrzym przewrócił stół, pod którym chował się żołnierz i zaczął okładać go potężnymi pięściami.

Tadeusz kopał, szarpał i uderzał rękami na oślep, ale najwyraźniej nie robiło to żadnego wrażenia na przybyszu. Nagle w sali rozbłysło mętne światło. Właściciel najwyraźniej naprawił korki. Kapitan spojrzał na swojego przeciwnika i momentalnie zapragnął, żeby znowu zapadły ciemności.

Wawelberg widział zgniłą, trupio szarą skórę mężczyzny. Nieznajomy faktycznie miał skręcony kark, a spod strzępków niemieckiego munduru widać było liczne rany postrzałowe. Na jego twarzy nie było choćby cienia inteligencji. Była to dzika bestia, która kierowała się wyłącznie żądzą mordy.

Kapitan Puszczyński przestraszył się, ale nie spanikował. Czuł, jak ręce truposza zaciskają się na jego szyi i wiedział, że ma coraz mniej czasu. Sięgnął po pistolet i drżącą ręką zdołał wycelować wprost w głowę potwora. Bez wahania opróżnił cały magazynek. Zrozumiał, że nie ma do czynienia z normalnym przeciwnikiem. Żywy trup drgnął zauważalnie i połuźnił uścisk, kiedy z jego głowy została tylko bezkształtna masa. Puścił w końcu żołnierza i zatoczył się do tyłu. W końcu wpadł na najbliższe krzesło i przewrócił się, padając bez życia na podłogę.

– Niech to szlag! – Zawołał Tadeusz i chwiejnym krokiem podszedł do zwłok. Nie miał już wątpliwości, zaatakował go żywy trup!

Gdzieś z drugiego końca sali rozległy się ciche oklaski. Żołnierz obrócił się gwałtownie i wycelował broń w tamtą stronę. Dopiero po chwili zrozumiał, że nie ma już naboju.

W rogu sali siedział spokojnie wąsaty mężczyzna w eleganckim gar-

niturze, a obok niego stał właściciel gospody ze strzelbą w dłoniach. Tadeusz patrzył na tę dwójkę z lekkim zakłopotaniem, aż w końcu rozpoznał dżentelmena w garniturze.

– Pan Wojciech Korfanty? – Zapytał i starł z twarzy resztki rozpaćkanego mózgu żywego trupa.

– Tak jest, kapitanie Puszczyński – odrzekł spokojnym głosem Korfanty, zupełnie jakby przed chwilą nie wydarzyło się nic dziwnego. – A może raczej... Wawelberg?

– Co tu się dzieje, do jasnej cholery?! Żądam wyjaśnień! Czym było to coś, co prawie mnie udusiło?!

– To był żywy trup. Jakubie, czy mógłbyś się go pozbyć?

Właściciel gospody kiwnął głową, odłożył strzelbę i po chwili ciągnął już cielsko giganta ku wyjściu.

– Potraktuj to jako rodzaj testu – kontynuował Korfanty i uśmiechnął się serdecznie do młodego żołnierza. – Wiele słyszałem o twojej grupie Wawelberczyków. Sprawnie wysadziliście wszystkie mosty, które nam wskazaliśmy. Niestety w tej kryzysowej sytuacji potrzebuję zebrać zespół najlepszych z najlepszych.

– W jakiej sytuacji? Myślałem, że mamy walczyć z Niemcami o Śląsk! Ten potwór może i był kiedyś Niemcem, ale od kilku tygodni musiał gnić w grobie!

– Otóż to. Od pewnego czasu dostaję raporty od żołnierzy, którzy byli świadkami ataku żywych trupów. Nie jesteśmy jeszcze pewni, czy mamy do czynienia z nowym rodzajem bronią biologiczną, jakimś ożywiającym zwłoki wirusem, czy może po prostu... Cóż... Z magią. W każdym razie musimy sobie z tym poradzić. Zagrożony jest nie tylko Śląsk, ale i cała Polska, a może nawet i świat! Mamy informacje, wedle których żywe trupy atakują w kolejnych miastach Europy. Wszystko wskazuje jednak na to, że ta inwazja ma swoje źródło w Berlinie.

– Co ja mam z tym wspólnego? – Przerwał Tadeusz, który opadł bezwładnie na najbliższe krzesło. Wszystkie te informacje po prostu go przytłoczyły.

– Słyszałem o tobie wiele dobrego. Dlatego chciałbym cię prosić, żebyś przekazał komuś innemu dowodzenie nad akcją „Mosty”. Mam nadzieję, że dołączysz do mojej specjalnej grupy uderzeniowej, która ma na celu odnalezienie i zlikwidowanie źródła problemu.

– Zaraz, zaraz... Mówił pan, że to był test! A więc specjalnie naszczuli-

ście na mnie jednego z tych potworów?

– Tak. Mój przyjaciel Jakub doniósł mi, że od kilku dni odwiedzasz jego lokal. Złapaliśmy jednego z zombie i przygotowaliśmy ten mały test. A ty zdałeś celując! Mało kto potrafi zachować zimną krew w starciu z taką bestią. Dlatego jesteś mi potrzebny Wawelberg. Twój kraj cię potrzebuje!

– Zgoda... – Tadeusz westchnął ciężko i spojrzał na Korfante z rezygnacją. – Nie tego się spodziewałem po powstaniu, ale nie będę uciekał przed walką. Jeszcze tylko jedno chciałbym wiedzieć. A gdybym tak nie dał rady temu potworowi? Patrzyłby pan, jak konam?

– Nie. Byliśmy przygotowani na interwencję. Już czas, żebyś poznał resztę mojej specjalnej grupy.

Wojciech Korfanty gwizdnął głośno, a sekundę później do gospody wtargnęło czterech mężczyzn. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby, a na ich twarzach malowała się zimna determinacja. Byli gotowi zgładzić każdego, kto choćby przypominałby żywego trupa. Tadeusz rozpoznał kilku z nich. Stał przed nim Robert Oszek z marynarki, a tuż obok niego Jan Wyglenda z grupy „Północ”.

– To ten słynny Wawelberg? Przeszedł test? – Zapytał nieznajomy mężczyzna, który trzymał w dłoniach dwa noże wojskowe. Coś w wyrazie jego twarzy mówiło, że potrafił się nimi posługiwać ze śmiertelną precyzją.

– Przeszedł test śpiewając – potwierdził Wojciech Korfanty i stanął za barem, żeby rozlać piwo dla całej grupy.

– Gratulacje! – Odezwał się znowu nożownik i wyciągnął dłoń ku Tadeuszowi. – Witaj więc w Korfantówce, ostatniej nadziei ludzkości przeciwko armii żywych trupów!

Emil Zawadzki

# PLAN COOR-FANTERA

*„Po wielkiej wojnie, którą jak najśluszej nazwano wojną wszystkich*

*ze wszystkimi, gdy nie obeschły do końca*  
*łzy wdów i sierot, gdy jeszcze*

*dobrze nie porachowano trupów rycerzy,*  
*których stopy zalegały na*

*bitewnych polach, bo o liczeniu zewłoków*  
*ciurów, giernków i pospólstwa*

*nikt nawet nie dumał, gdy wreszcie wy-*  
*krwawione, na wskroś obolałe*

*królestwa i księstwa próbowały czynić ja-*  
*kiekolwiek wysiłki, by wrócić*

*chociaż do namiastki przedwojennego ży-*  
*cia, możni tego świata, obrośnięci*

*piórkami zwycięzców, radzili w Ver-Sa-*  
*alem, jak też ów świat ma wyglądać.*

*Na konkluzje owych narad jedni oddychali*  
*z ulgą, innym włosy na głowie*

*powstawały z przerażenia, jeszcze inni nie*  
*dowierzali, czego tam się ten i ów*

*królewski doradca nażał, że takie posta-*  
*nowienia zapadły...”*

Fragment kroniki Warusa z Arven

\*\*\*

Wojewoda Vitus nie trawił tego pyszałka, domyślał się zresztą, że komes Coor-Fanter odwzajemnia jego szczere uczucie, ale tu szło o wielką politykę, nie o osobiste uprzedzenia. Okoliczności wymuszały współpracę.

– Jak oni to sobie wyobrażają? – Spytał Vitus. – Toż przed wojną tyle ich chłop z parobkiem obchodził, żeby było na czym grzbiecie wyżyć się batogiem, a teraz ten sam chłop będzie głosował, czy Szlezja przypadnie Marchii, czy nam?

– Ot, nowe prądy myślowe – uśmiechnął się półgębkiem Coor-Fanter. – Skoro wydumano, że głos parobka równy głosowi wojewody, nie ma co gardłować przeciw. To raczej nasza szansa.

Vitusowi wciąż nie mieściło się to w głowie. Sam wywodził się z chłopstwa, ale trudnym do wyobrażenia wysiłkiem, samozaparciem i bezwzględnością dochrapał się urzędu wojewody w odrodzonej Polonii. Kraj próbował wydzwignąć się z powojennej pożogi, był jednak jednym wielkim polem bitwy głównych sił konfliktu i nikt jeszcze nie wiedział, czy zostanie królestwem, czy na stałe rządzić nim będzie rada najznamienitszych, która tymczasowo sprawowała władzę. W Ver-Saalem zarządzono, że sporny teren Szlezji, do którego roszczenia zgłaszała tak Polonia, jak to, co ostało się z Cesarstwa, czyli Marchia Saska, będzie areną osobliwego głosowania, w którym mieszkańcy sami zdecydują, pod czyją zwierzchnością chcą żyć. Biała kulka za Polonią, czarna głosem za Marchią. Szlezja była łakomym kąskem, jako kraina nafaszerowana osa-

dami żyjącymi z pracy dymarek, usiana wioskami, które ginęły w oparach fryszerni, a także pełna odkrywek, gdzie w pocie czoła wrywano ziemi jej zasoby. Wątpliwości wojewody Vitusa budził jedynie plan Coor-Fanter i związane z nim koszty.

– Trzysta denarów za zdzieranie gardła, że oto w Polonii będzie wam lepiej niż u Sasa?

– Przecież nie jednego! – Komes powoli tracił cierpliwość. – Potrzeba ludzi, którzy po jarmarkach będą nawoływać do głosu za Polonią, im takich więcej, tym lepiej. Niech przekonują. Nieprzekonanym może trzeba będzie sypnąć groszem na zachętę?

– Zawsze mnie uczono, że przekupstwo rzecz drożna – wyłoshił się wojewoda.

– W zbożnym celu wręcz przeciwnie – odparował Coor-Fanter. – Za tydzień wrócę ze Szlezji. Przemówcie Radzie do rozumu.

Vitus z ciężkim sercem wydał dyspozycje podskarbiemu i obładowany pieniędzmi poczet Coor-Fanter wyruszył z misją pozyskania dla Polonii nowych ziem i poddanych.

\*\*\*

Nie wyglądało to wesoło, co na miejscu stwierdził Coor-Fanter. We wsi, której starosta użyczył chałupy dla komesa i jego ludzi, wrzało jak w buzującym garnku. Bójki, zastraszania imorderstwabyły na porządku dziennym. Spłonęło nawet jedno obejście.

– Zwożą ludzi z Marchii – wyjaśnił przy obiedzie starosta. – Straż nie panuje już nad niczym.

– Jak to: zwożą? – Coor-Fanter popił podstępny śmietaną.

– Ano, zwożą. Że to niby Szlezjanie z dziada-pradziada i że tu mieszkali, wrócili do macierzy i czarną kulkę do skrzyni wrzucą. Pojmujecie?

Coor-Fanter zaklął pod nosem. W odpowiedzi trzeba by robić to samo. Przywieźć na głosowanie jak najwięcej ludzi z Polonii, ale na to nie było czasu ani pieniędzy. Z własnych środków, w tajemnicy przed Radą, ale za cichym przyzwoleniem Vitusa, umieszczał w Szlezji swoich agentów i zbrojnych, ale wciąż było ich zbyt mało. Wieczorem Coor-Fanter napisał do wojewody zaszyfrowaną wiadomość. Miał plan. Jedyne słuszne.

\*\*\*

Nielichą czkawką odbiły się Vitusowi słowa o przekupstwie. Miał wrażenie, że krótkowzroczność członków Rady da się wyleczyć tylko łapówkami.

Tak to jest, kiedy decyduje wielu... Zdałby się powrót króla, tylko skąd go wytrzasnąć?

– Szlezja to złota kura – tłumaczył Radzie wojewoda. – To wpływy do skarbca i większe bogactwo.

– A jakież tych Szlezjan zwięzek z Polonią? – Zapytał jeden z członków Rady. – Poza tym, że ileś wieków temu, ziemia ta był nasza?

– Skoro niektórzy przez stulecia zachowali język, wiarę i obyczaje, to chyba oczywiste – wycedził gniewnie Vitus. – Co tu tłumaczyć?

– Coor-Fanter w szkołach Cesarstwa zaczynał nauki – ozwał się inny radca. – Więc może on jakieś konszachty z Sasem ma? Czego on chce?

Wojewoda ciężko opadł na zydel. Jak trudno dojść do ładu z tą bandą starych dziadów...

– Mości panowie – Vitus wstał. – Może być tak, że głosowanie pójdzie nie po naszej myśli. Skrytobójcy mordują nawołujących do głosu za Polonią, z Marchii wciąż przybywają ludzie, którzy oddadzą głos w istocie fałszywy. Trzeba wtedy ogłosić światu, że Marchia zwyciężyła dzięki oszustwu! Coor-Fanter twierdzi, że stu rycerzy z pocztami i drugie tyle ochotników załatwi sprawę. Po głosowaniu wkroczą do Szlezji, naprawić to, co fałszerstwem zepsute.

– A więc wojna? Ledwie jedna się skończyła.

– Nie... Coś innego. Dzielny zryw Szlezjan, którzy chcą do Polonii. Na pohybel Marchii!

\*\*\*

Do izby wniesiono krwawiącego z ust nieszczęśnika. Ugodzony w pierś, najpewniej miał przebite płuco. Coor-Fanter zalecił ułożyć ranego na stole. Zbyt wiele widział, by mieć nadzieję, że Melen wydobrzeje. Z każdym pełnym krwawych bąbli oddechem uchodziło z niego życie. Jeden z najbardziej zaufanych ludzi komesa... Wzywał na targu do głosu białą kulką.

– Trzeci w tym tygodniu – szepnął Coor-Fanter.

Brodaty rycerz zamknął Melenowi powieki.

– Powinniśmy robić to samo, komesie – rzekł twardo. – Zza węgła strzelać z kuszy, wbijać sztylet w plecy, wywlekać do ciemnych zaułków, wydlubywać oczy, obdzierać ze skóry...

Coor-Fanter pokręcił głową.

– To by znaczyło, że jesteśmy tacy

sami jak oni. Wtedy właściwie bez znaczenia, komu przypadnie Szlezja, a ja chcę, żeby to miało znaczenie.

Rycerz zrozumiał, ale nie wyglądał na przekonanego. Wraz z towarzyszami wyniósł zwłoki Melena na podwórze. W izbie pozostał tylko Coor-Fanter i starosta.

– Panie...

– Co tam? – Wyrwany z zadumy komes spojrzął na gospodarza.

– Może to i nieważne, ale... Mam synowca po zmarłym bracie. Tyle zna Marchię co i Polonię, młody i głupi, a językiem mieszanym mówi. Nicpo-tem, rzekłbym, ale...

Coor-Fanter wciąż wpatrywał się w starostę.

– Ale wrzuci białą kulkę...

– Dobrze... Może śmierć Melena będzie mniej bezsensowna?

– Życia mu to nie przywróci. – Starosta podrapał się po siwej głowie. – Ale może uratuje życie innych?

\*\*\*

*Ot, oszustwem wygrał Sas,*

*Wiedział o tym każdy z nas.*

*Już od zbrojnych huczą błonia,*

*Czy przysłała ich Polonia?*

*Już się karki Sasów łamią,*

*Ale w Marchii ciągle kłamią,*

*Że to gwałt i jawna zdrada,*

*I Coor-Fanter już się skrada,*

*Wnet pobije saskie rotty,*

*Bo jest zdolny do podłoty.*

*To był jego plan złowieszczy,*

*To przez niego Szlezja trzeszczy,*

*I w posadach drży, cny panie,*

*Bo przegrali głosowanie*

*I do bitki wnet ruszyli,*

*Mając gdzieś doniosłość chwili.*

*Aż do saskich głowin doszło,*

*O co tak naprawdę poszło:*

*Gdy Szlezjanin Sasem musiał,*

*Woli on być Polonusem.*

Anonimowy popowstaniowy wierszyk przypisywany Leegonhowi ze Stann

Przemysław Karbowski

# FLUGZEUG?!

Ciepła majowa noc została przerwana salwami armat, a rozgwieżdzone niebo pojaśniało od wybuchów. Zakwaterowani niedaleko mostu na Olzie powstańcy, zerwali się w popłochu. Nikt nie spodziewał się ataku od tej strony. Wychylający się z kwatery dowodzenia żołnierze zobaczyli przerażający widok. Przez most toczyła się diaboliczna konstrukcja. Choć były to tory kolejowe, to nigdy takiego pociągu nie widzieli. Był wysoki jak dwupiętrowa kamienica, rozpoczynał się długim, pokładającym się przy ziemi taranem upstrzonym kolcami. Cała konstrukcja wydawała się żyć. W każdym niemal miejscu ruszała się wystawiona przez niewielki otwór strzelniczy lufa karabinu. Pociąg pomalowany na czarno-czerwono wydawał z siebie złowrogi stukot setek kół. Co jakiś czas z komina buchał żywy ogień. Wyhamował nagle ze świstem i dopiero wtedy dostrzegli, że nie dziesiątki karabinów są ich największym problemem. Na dachu tej makabrycznej konstrukcji stały cztery wielkie armaty, a tuż przy podłodze zamontowano miotacze ognia. Nie dało się więc do tego podejść, nie było też sensu w to strzelać, ani nawet próbować zbombardować z samolotu. Pociąg zatrzymał się tuż za mostem i otworzył boczne klapy. Wybiegli z nich setki żołnierzy w hełmach ze szpicą, ale ubranych zupełnie inaczej. Nie nosili mundurów, ale czarne, stalowe pancerze. Zakuci od stóp do głów, w dłoniach dzierżyli potężne karabiny, do których amunicję transportowano pasem z zasobnika na plecach. Rozbiegli się po okolicy, jakby ta zbroja zupełnie nic nie ważyła. Już w następnej chwili rozległy się strzały i krzyki. Pociąg stęknął, a z armat na dachu poleciały pociski. Kurz, jaki wzniciły ich wybuchy, zakrył całe niebo, utrudniał oddychanie i obserwację.

– O pierona! – Dowódca zaklął pod nosem, ściągając czapkę.

– Jakie rozkazy? – Adiutant od razu pojawił się przy nim.

– Trza bydzie citać – odparł. – Nie łobstonymy z czymś takim. Dowej radyjko!

Błyskawicznie skoczył do biurka i przyciągnął telefon, który był połączony z Wodzisławiem. Zakręcił korbą i podał słuchawkę dowódcy.

– Tu Olza – zaczął. – Podciągnęli pancerny cug, ale takiej bestii to żech nie widzioł... Ja, poczkomy.

Oddał słuchawkę i jeszcze raz wyjrzał na zewnątrz. Dym cały czas leciał z komina pociągu, a żołnierze wracali do niego z pojętymi cywilami.

Wnosili też do jego wnętrza szkatułki, skrzyneczki i inne pojemniki.

– Cisnymy do zadku – chwycił go za ramiona. – Walka nie ma sensu. Trza się cofnąć i utrzymać pozycję. Poczkomy na wsparcie.

Błyskawicznie spakowali mapy, meldunki oraz wszystko, co tylko mogło się przydać i pod żadnym pozorem nie powinno trafić w łapy wroga. To, czego zabrać się nie dało, przynajmniej uszkodzili i, pod osłoną kurzu, cały oddział wycofał się zdecydowanie bliżej Wodzisławia, zgodnie z rozkazami. Im robiło się widniej, tym lepiej widzieli, z jakim monstrum mają do czynienia. Jeden z cywili wyrwał się żołnierzowi, ale pociąg zareagował w mgnieniu oka i posłał krótką serię z jednego z bocznych karabinów. Uciekinier padł w trawę. Ci, którym udało się uciec przed pancernymi żołnierzami, opowiadali, że Niemcy zatrzymali się i nie prą dalej. Chodzili od domu do domu i czegoś szukali. Wypytywali o każdą zamykaną szkatułę. Dowódca wiedział, czego szukają, ale nie mógł o tym mówić na głos. Musieli w jakiś sposób wejść w posiadanie informacji o złożu znalezionym w kopalni KWK Anna w Pszowie. Nie było duże, ale te kilka świecących karmazynowo grudek wystarczyło do napędzenia broni, na której przybycie teraz czekali.

Żołnierze w pikielhaubach i pancernych zbrojach prowadzali przedziwne konstrukcje na gąsienicach. Niewielka koparka wsuwała się w ziemię, a po chwili w tym miejscu powstawał rów. Druga maszyna wbijała kołki podtrzymujące ściany i w kilka minut cały okop był gotowy. Montowali w nich karabiny ma-

szynowe i miotacze ognia, co jeszcze bardziej utrudniało położenie powstańców. Wydawało się, że tak umocnionych terenów, pod ostrzałem ze śmiercionośnego pociągu, nie da się już odbić. Zwłaszcza że wycofujące się oddziały poniosły duże straty. Niemiecka broń miała większy zasięg, była celniejsza i szybkostrzelna. Ostrzał z pociągowych armat także zbierał śmiertelne żniwo. Nagle, jeszcze przed południem, w oddali dało się usłyszeć bardzo głośny szum. Stopniowo narastał, a wraz z nim kurz podnosił się z ziemi. Wkrótce na niebie zobaczyli srebrną maszynę wyglądającą zupełnie jak samochód pancerny. Komora silnikowa z przodu była dołączona do długiej, nieco kanciastej tuby, w której dało się zauważyć przeszkłone, niewielkie okienka. Na dachu tego latającego, niezgrabnego cudu znajdowało się coś przypominającego kształtem armatę. Zamiast kół miał jarzące się czerwienią silniki. Przesuwał się po niebie bez skrzydeł i śmigła, co wprowadziło w konsternację nie tylko Niemców, ale też powstańców, którzy wcześniej tego wynalazku nie widzieli. Dopiero kiedy spostrzegli na burcie olbrzymi napis KORFANTY, uspokoił się i głośno krzyknęli. Odpowiedział im krzyk oddziałów piechoty idących w ślad za latającym samochodem. Napastnicy otrząsnęli się z szoku i zaczęli strzelać, krzycząc „Flugzeug!”. Najpierw w kierunku maszyny poleciały pociski z karabinów maszynowych, ale obity się od jego pancerza niczym rzucone w ścianę pestki słonecznika. Nie zachwiały nawet jego pozycję w powietrzu. Wszyscy zamarli jednak kiedy obudził się pociąg. Para buchnęła spod kół, ogień i dym strzeliły z komina, a lufy armat skierowały się wprost na tajną broń powstańców. Pierwsza salwa minęła samochód, a pociski wylądowały daleko za linią obsadzoną piechotą. Pociąg szybko skorygował ustawienie

swoich dział i wypuścił następną serię. Tym razem wszystkie cztery pociski trafiły w cel. Samochód oberwał. Wokół niego powstała czarna kula dymu i ognia, a siedzący w zaroślach powstańcy jęknęli z żalu. Spodziewali się, że zaraz spadnie, tymczasem on wysunął się powoli i dostojnie z tej zadymionej chmury i wyglądał, jakby nawet farba na pancerzu nie została zarysowana. Przebudziło się także działko zamontowane na dachu. Kilka razy żwawo ruszyło się na boki, a potem tuż przy końcu lufy zaczęło się coś świecić na czerwono. Blask jaśniał i nagle działko strzeliło długą, karmazynową falą. Celnie uderzyła w pierwszą armatę, a operator działa pociągnął je dalej, ścinając z dachu pociągu kolejne trzy. Potężne, stalowe działa rozpadły się przecięte precyzyjną falą czerwonego światła. W następnej chwili fala spadła na okopy, z których wybiegli przerażeni żołnierze niemieccy. Nie wszyscy mieli szczęście przeżyć ten atak czy wyjść z niego w całości. Działko przecinało na pół ich pancerze, odcinało kończyny i głowy zakute w pikielhauby. Pociąg ostatkiem siły ryknął tym, co miał. Karabiny zaczęły wypływać serie pocisków, miotacze ognia ziały śmiercionośnymi płomieniami, ale podniesieni na duchu powstańcy wybiegli z ukrycia. Z okrzykiem na ustach ruszyli w stronę wroga. Samochód wsparł ich ogniem i teraz krótkie uderzenia fali trafiały w pancerz pociągu, wypalając w nim dziury. Stał w tych miejscach wyglądał, jakby dopiero co ktoś wyciągnął ją z hutniczego pieca. Samochód tysiącami strzałów przepalał pancerz na wylot. Pociąg nie mógł się nawet wycofać. Stał się niezdolny do walki i jazdy już po kilku minutach karmazynowego deszczu. Żołnierze uciekali w popłochu za Odrę i Olzę. Dzięki temu powietrznemu wsparciu błyskawicznie udało się odzyskać utracone wcześniej tereny oraz opanować linię dwóch rzek. KORFANTY natomiast, napędzany przedziwną rudą, jeszcze nie raz wspomógł polskie wojsko w walce z wynalazkami wroga.

Kamil Bednarek



Wzlot ku przestrzeniom kosmicznym, „Naokoło Świata” 1928, nr 54, s. 21. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.

# KTÓRY?



„Naokoło Świata” 1932, nr 102, s. 34. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.

W uszach cały czas brzmiał mu uporczywy dźwięk drona szpiegowskiego, przypominający odgłos latającej koło ucha muchy.

*To tylko paranoja, powtarzał sobie, Paranoja.*

To było najlepsze słowo na określenie emocji, towarzyszących mu podczas każdej z takich akcji. Nigdy nie należał do odważnych, ani brawurowych. Matka mawiała, że za dużo myślał, za mało działał i miała rację. Inni chłopcy nie mieli żadnych problemów. Po prostu brali od Bercika świeżo wydrukowane plakaty i ruszali na ulicę. Uwijali się z tym szybko jak mrówki; doskakiwali do słupów informacyjnych lub tablic z ogłoszeniami i z szybkością godną pozazdroszczenia, zalepiali podobizny Grażyńskiego, Wojciechem Korfantym. Hasło *Wszyscy Polacy to jedno. Kto nie z nami, ten wróg*, zastępowali prostym *Myśl!* Ożywiali pamięć, budzili sumienia, ryzykowali życie.

*Nie ma tu żadnego drona*, powtórzył w myślach po raz kolejny i wreszcie zdecydował się wyjść z familoka, wprost na ulicę. Zaciśnął zęby, myśląc już tylko o tym, że podobne plakaty wieszał setki razy i nic nie powinno pójść źle. Potem układ ośrodkowy przejęły uczucia.

Przebiegł całą ulicę, szybkim ruchem zerwał wiszący do tej pory plakat na słupie, wyciągnął plakat Organizacji z kieszeni, rozłożył go i przytknął do gładkiej powierzchni. Wystarczyły tylko cztery pociągnięcia szybko schnącego kleju i już można było biec dalej. Uciekać, uciekać, uciekać...

– Hanik! – Usłyszał za sobą znajomy głos. To był Ewald, jeden z jego przyjaciół. Szybkość którą rozwinęły młodzieńcze nogi, wskazywała na to, że również przed chwilą wykonał po-

dobne zadanie i teraz usiłuje znaleźć się jak najdalej od przykrych konsekwencji.

Hanik zwolnił trochę, by zrównać się z przyjacielem, wbrew wszystkim zasadom. Powinni się rozproszyć, trzymać z daleka od siebie aż do dotarcia do domu. Radość ze spotkania była jednak zbyt wielka. Przez chwilę pozwolili sobie być po prostu dwoma młodymi chłopakami, cieszącymi się swoim towarzystwem.

I wtedy usłyszeli trzepot śmigiełek drona. Tym razem nie był tak donośny, jak ten urojony, rodzący się w głowie Hanika, jednak z pewnością realny. Usłyszeli go oboje. Usłyszeli i spojrzeli na siebie. Powodowani instynktem, popartym przeszkoleniem, każdy z nich rzucił się w inną stronę. Hanik pobiegł w prawo, wprost w podwórko, na którym suszyło się pranie, Ewald, rzucił się w lewo, w wąski przesmyk między kamienicami. Wszelkie myśli ich opuściły. Liczyły się tylko stopy i bieg, bieg wciąż naprzód. Bieg po życie.

Hanik schylił się aby przejść pod sznurami. Kobieta podomka, pachnąca tanim proszkiem, smagnęła go po czole.

– Ej! To moje pranie! – Wrzasnęła tęga kobieta, grożąc mu pięścią. Gdyby nie jej tusza, bez wątpienia rzuciłaby się w pogoń.

Hanik biegł dalej, serce łomotało mu w piersi, lecz z każdą mijaną czerwoną okiennicą, był coraz bardziej pewny, że mu się uda, a dzień zakończy się dobrze.

Nagle usłyszał strzały.

\*\*\*

Anielka siedziała na wytartym kocu, tuląc do siebie pluszowego misia z oberwanym oczkiem. Zapach stęchlizny coraz bardziej ją otulał, stawał się jej częścią. Nawet jej mama nie pamiętała, jak Anielka pachniała wcześniej. Tak samo jak nie potrafiłaby przywołać w myślach prawdziwego zapachu swojej starszej córki, Usi. Usi, stojącej przy oknie z zaciętą miną, ze skrzyżowanymi ramionami i ogniem w oczach.

– Muszę wyjść z tej zatęchłej klitki! Muszę! Jestem już dorosła! – Prawie krzyczała, nie zdając sobie sprawy, że jej słowa świadczą przeciwko niej samej. – Dałabym sobie radę, tak jak Eda!

– Usiu... – Zaczęła matka dyplomatycznie, a serce ścisnęło jej się na myśl, że życiem mogłoby ryzykować kolejne dziecko – Masz tutaj swoje zadania. Ktoś musi opiekować się Aniel-

ką. I dziadkiem. Ktoś musi pomagać mi...

– Babskie zadania – prychnęła Usia, jeszcze bardziej się jeżąc. Dając upust swojej złości, ostentacyjnie odsunęła się od matki i usiadła na krześle obok dziadka.

Staruszek siedział na zydelku, palił fajkę i katatonicznie kiwał się w przód i tył. Usia wiedziała, że to wszystko poza, a dziadek zachował rozum młodego człowieka.

– Przypomnij mi, dlaczego muszę cały czas tu siedzieć! – Zażądała bez zbędnego wstępu – Dlaczego nie możemy żyć jak wszyscy inni?

Dziadek podniósł na nią wilgotne oczy.

– Ponieważ jednolitość nigdy nie jest dobra. Zwłaszcza ta, wprowadzana na siłę – powiedział głosem, wcale niebrzmującym jak starczy. – A odrębność jest tym, co trzeba pielęgnować.

– Nawet za cenę życia?

– To jest naszym życiem... Niektórych można przekupić, niektórych zmusić do posłuszeństwa siłą, ale zawsze znajdą się tacy, których nie da się odwieść...

– ...Od wolności – dokończyła za niego.

– Serca, zwłaszcza niepokornego, nie można zmusić do uczuć. Ani mu ich zabronić – powiedział, posyłając jej uśmiech pozbawiony jedynek.

– Nie, nie można – powiedziała, przypominając sobie uśmiech Hanika i jego czarne, hipnotyzujące oczy. Było to uczucie innego rodzaju, niż to o którym mówili, lecz dowodziło, że serca naprawdę nie można odmienić.

– Chcieliśmy świata bez wielkiej wojny – dziadek zamyślił się, wspominając dawne czasy. – Myśleliśmy, że jeżeli zaatakujemy Niemców, zanim oni zaatakują nas, zapanuje stały pokój.

– Ale przecież wojna to wojna – sprzeciwiła się Anielka – I nie ma dla niej usprawiedliwienia...

– Tak... Lecz byliśmy zbyt dumni by to zrozumieć. I ponieśliśmy za to cenę. Zwyciężyliśmy, ale jakim kosztem... – Tutaj przerwał na chwilę, bo wzruszenie ścisnęło mu gardło. – Mówię, że Polska jest teraz wielka, dumna i silna. I tak jest w istocie. Za to Polacy... Polacy są mali. Boją się własnego cienia. Ciągłe szukają wewnętrznego wroga.

– Nas.

– Tak. Nas. I Kaszubów. I każdego kto myśli chociaż trochę inaczej niż Zjednoczenie. Lecz nie da się rządzić bez opozycji ani żyć bez głosu sumienia. Może tak jest łatwiej, ale nie lepiej... Na pewno nie lepiej...

– A co ja... Mogę zrobić?

– Pamiętaj, że umysł masz po to, aby go używać – wyciągnął sękaty palec i popukał ją w czoło. – To wystarczy.

Zaśmiała się w odpowiedzi.

– Eda powiedziałby, że wcale tego nie robię.

– Bracia dokuczają swoim siostrą, ale kochają je nad życie – pokiwał głową, myśląc pewnie o swojej siostrze, która już dawno nie żyła. – Obiecay mi jedno – dodał po chwili przerwy – zawsze używaj tego, co masz między uszami. I niech to współgra z tym, co nosisz w piersi.

Usia właśnie miała odpowiedzieć, że to nie zawsze da się pogodzić, lecz przerwała jej obwoźna szczekaczka. Wjechała w ulicę między budynkami i chropawym, odtwarzanym z płyty głosem, wykrzyczała to, co Usia знаła na pamięć.

Nasz kraj jest najlepszy na świecie, szyby zawibrowały od tego głosu, Cieszymy się, że możemy żyć w tym pięknym kraju. Wszyscy Polacy to jedna rodzina. Myślący tak samo chłopak i dziewczyna. Kto Polskę w sercu ma...

– Ten za często je i sr... – Usia próbowała dokończyć zasłyszaną od Hanika rymowaną, ale matka spojrzała na nią zabójczym wzrokiem.

...o tego Pan Bóg dba.

– Eda powinien już tu być – powiedziała nagle matka, patrząc na zegar. Jej głos ściśnięty był od lęku. Nagle ten sam lęk opanował Usię, złapał ją za serce, sparaliżował. Nie martwiła się jednak tylko o brata. Drżała także o los jego przyjaciela. Swojego przyjaciela, a także dziesiątek młodych ludzi, ryzykujących życie w imię tego, aby mogła być sobą. Ryzykujących każdego dnia. Płacących najwyższą cenę.

– Strzały! Na ulicy Piłsudskiego strzały! – Usłyszała nagłe wrzawę na korytarzu. Rozpoznała głos Franciska, jednego z dywersantów. I wtedy to okropne przecucie się nasiliło... Wiedziała, że wieść będzie zła, przerażająca. Pytanie nie brzmiało „czy”, pytanie brzmiało: który?

Małgorzata Sikora

# LISIOŁ POWSTAŃCEM

23 maja roku pańskiego 1921 zaczął się całkiem przyjemnie. Lisiół<sup>1</sup> leżakował w swojej norcie niedaleko mostu kolejowego na Olzie, popijał sake i jadł truskawki. Typowy leniwy dzień z życia Lisióla, gdy nagle przed 10 rano rozległo się walenie do drzwi. Brzmiało to tak, jakby ktoś nie tylko walił pięścią, ale również katował drewno uderzeniami swoich podkutych butów. Rozdrażniony Lisiół spłynął ze swojego fotela i otworzył drzwi. W progu zastał uzbrojonego niemieckiego żołnierza z paramilitarnych jednostek o nazwie Freikorps. Momentalnie dobry humor opuścił Lisióla<sup>2</sup>. Zmierzył gościa nieprzychylnym spojrzeniem. Futrzak jednak nie zdążył się odezwać, gdy lufa karabinu została wycelowana między lisie oczy. Palec żołnierza pomknął w stronę spustu. Lisiół zareagował odruchowo. Wyciągnął z kieszeni truskawkę, oderwał zawleczkę i wepchnął ją do lufy karabinu. Sam Lisiół przypadł do podłogi, zakrywając łapami oczy. Truskawka eksplodowała w lufie, rozrywając ją na kawałki. Te zaś wbiły się w niemieckiego żołnierza, upodabniając go do bulgotającego jeża. Lisiół wyprostował się i strzepnął kurz ze swojego futra:

– i na co Ci to było? Teraz wyglądasz jak jeż, ale do rzymskiej forma-

cji to Ci daleko – rzucił zadowolony z siebie, po czym w kilka susów dostał się na pobliskie drzewo. Przyłożył łapę do oczu i omiół wzrokiem teren wokół mostu kolejowego na Olzie:

– co tam się odtruskawiło? – Zamruczał pod nosem, po czym zeskoczył na ziemię. Minął martwego żołnierza i wpadł do norki. Po kilku minutach ziemia otworzyła się, ujawniając tajny garaż Lisióla. Wyjechał z niego czołg pokryty futrem i uzbrojony w dwie wyrzutnie truskawek, nie wspominając o napędzie atomowym. Lisiół usiadł na pancerzu, mając na łebku hełm z pulsującym wyświetlaczem z przodu:

– już ja im dam moje truskawki! Czas zrobić tutaj porządek! – Zamruczał groźnie pod nosem.

\*\*\*

Niemiecki pancerny pociąg eksplodował na miliony małych kawałeczków, wprowadzając chaos w jednostkach Freikorpsów dookoła. Część żołnierzy stała, patrząc tępo w dziurę, jaka została po ich niezawodnej broni, inni krzyczeli, pozostali biegali bez ładu. Dopiero wykrzykiwane przez dowódców rozkazy, zaczęły wprowadzać porządek.

Lisiół wypuścił kawałek słomy z pyska, po czym odsunął lornetkę od hełmu:

– to się nazywa złoty strzał mała – poklepał swój czołg z czułością po futrzastym pancerzu – lisiółkowym

ładuj!

Pod Lisiólem rozległ się dźwięk ładowania pocisku, chociaż maszyna nie posiadała żadnego włazu, ani nawet wlewu na benzynę. Zupełnie jakby żyła lub coś ją zamieszkiwało. Czołg ruszył przed siebie, unosząc się lekko w powietrzu. Reaktor atomowy został uruchomiony, co wprowadzało maszynę w lekkie drżenie. Lisiół zeskoczył z pancerza na pierwszego z żołnierzy, lądując mu na hełmie. Kilkoma podskokami wbił mu go w głowę, miażdżąc czaszkę z nieprzyjemnym dla ucha zgrzytem. Następnie przeskoczył na kolejnego wroga, zostawiając w ręce odbezpieczoną truskawkę. Piszcząc z zadowolenia, futrzak oddalił się od miejsca wybuchu. Jego celownik namierzał kolejnych wrogów, aż dotrzedł dowódcę Freikorpsów w egzoszkielecie. Przemieszczał się niczym taran. Złapał nawet lisiółkowy pocisk wystrzelony z czołgu i to w locie! Następnie wbił go w ziemię, po czym przydeptał nogą niczym starego papierosa. Lisiół zmarszczył nos, nie spodobało mu się to. Nie zdążył jednak zareagować, gdy wróg rozpędził się, uderzając w czołg. Wyciągnął swoje wzmocnione ramiona i wyrwał obie wyrzutnie rakiet, odrzucając je na bok niczym zabawki. Silniki czołgu zgasły, wydawało się, że z ziejących w pancerzu otworów spływa czarna ciecz niczym krew. Wkurzony Lisiół spadł na przeciwnika z powietrza, jednak już po chwili został odrzucony na bok, jakby nic

nie ważył. Futrzak jednak wiedział, że partyzanci nigdy się nie poddają, więc on też nie zamierzał. Zaczął obrzucać przeciwnika odbezpieczonymi truskawkami, które w końcu porysowały mu pancerz. Tyle wystarczyło, żeby zdobyć uwagę dowódcy Freikorpsu. Ten nieśpiesznie odwrócił się w stronę Lisióla, celując do niego z wyrzutni rakiet. Futrzak był na to gotowy. Wykonał kilka pływów przypominających niewybredny taniec, unikając tym samym trafienia, po czym pokazał przeciwnikowi język. Lisiół wywołał tym gniew, który wręcz dało się wyczuć w powietrzu. Niemiec ruszył za futrzakiem, zdecydowany przerobić go na futro. Lisiół właśnie na to liczył. Umknął do wnętrza kościoła, po czym zaczął wspinać się po ścianie na górę. Gdy wróg stanął na środku kościoła, futrzak już na niego czekał. Przeciął liny trzymające dzwon kościelny, który poleciał w dół – prosto na dowódcę Freikorpsu, miażdżąc go pod sobą. Dla pewności jednak Lisiół skoczył na sam dzwon, podskakując na nim kilka razy, aby na pewno dobrze się ułożył na nowym właścicielu:

– i komu teraz bije dzwon?! – Rzucił wściekły futrzak – kobiet się nie bije, nawet pancernych, zapamiętaj to sobie!

\*\*\*

Dzwonek do drzwi obudził gwałtownie Lisióla z głębokiego snu. Futrzak przetarł oczy i podniósł książkę, która upadła na ziemię. Wspomnienia Powstańców Śląskich musiały wciągnąć go bez reszty. Westchnął ciężko, szkoda, że tam rzeczywiście go nie było, chociaż poradzili sobie bez Lisióla, to tyle fajnych przygód go minęło...

Lisiół

1 Lisiół – prowadzący bookstagram Lisiół Czyta na Instagramie.

2 Futrzak słowo zamiennie na określenie „Lisiół”. Jest związane z pluszową maskotką lisa, promującą wspomniany profil na Instagramie.



...Kot się wydłuża... Wieża z czerwonej cegły..., „Naokoło Świata” 1930, nr 71, s. 23. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.

# OPIEKUN SPOD ŚWIĘTEJ ANNY

Wielkie oczy zwęziły się. Nie tylko dlatego, że migotał w nich płomień. Zmrużył je gniew. Bebok często to robił. Kiedy Marysia, zamiast kar nie siadać do lekcji, pokazywała matuli język albo kiedy młody Rajmund, wycierał umorusane jak święta ziemia łapska w spodnie. Tym razem było inaczej.

Wioska rozmywała się w czarnym dymie. Część przysiółków płonąła. Te, które ocalały z pożogi, były płądrowane przez Niemców. Taki los podzieliło domostwo sołtysa, w którym mieszkał Bebok. Stworek czmychnął do piwnicy, kiedy tylko na zewnątrz zagrzniały silniki ciężarówek, a ziemia zatrzęsała się od ciężkich kamaszy. Wcisnął się w tunel i wygramolił przy płocie. Spomiędzy krzewów jałowca obserwował, jak Niemcy wyprowadzili rodzinę sołtysa przed dom i kolbami karabinów gnali przez wieś. Bebok przyglądał się zapłakanej Marysi i małemu Rajmundowi, który kurczowo ścisnął ciosaną dłoń ojca. Szmacianego królika, z którym nie rozstawał się nawet na minutę, nie miał ani Rajmund, ani żaden z domowników. Na ganku został tylko niemiecki oficer. Gruby jak baryła pokrzykiwał gardłowo na żołdaków.

To był moment, w którym Bebok uświadomił sobie, że opieka nad domostwem, jest czymś więcej niż ruganiem nieposłusznych młokosów. I zrozumiał, że odpuścić zniewagę, było po prostu hańbą.

Poszedł przez las, rozprawiając napotkanej zwierzynie o pożodze. Opowiedział wszystko nawet Meluzynie, która zawodziła na wodach pobliskich krasowych źródeł. Minął też pełne artyleryjskich kraterów, złote pola. Żałował Południc, które przegnane nawałą, chowały się między brzoźkami i roniły siermiężne łzy na rdzewiejące sierpy.

Szedł długo, przebierał włochatymi łapami, aż pomiędzy zagajnikami wyrosła żelazna konstrukcja szybu kopalnianego. Przebiegł przez opustoszałe place, minął maszyny i porzucone wagoniki na kopalnianych bocznicach.

Znalazł Skarbnika na przodku. Tam, gdzie jego wiedza niejednokrotnie stanowiła o życiu pracujących w mozole bergmanów. Siedział na skrzynce, w czarnych od węgla dłoniach trzymał kask. Wielki jak kartofel nochal zwiślał na kwintę, a wylupiastymi oczu, tęskno wpatrywał się w wydrążone w wyrobisku otwory, do których wciskano łaski karbonitu. Bebok spuścił po sobie długie uszy, widząc posmutniałego przyjaciela. Złapał się

jednak pod boki i w oszczędnych słowach wyłożył sprawę. Skarbnik zarechotał, a jego nochal naprężył się na wzór maczugi. Zeskoczył ze skrzynki, nacisnął kask na kosmaty łeb i ruszył przez wyrobisko.

Bebok kluczył za Skarbnikiem, aż stanęli przed wysoką bramą. Skarbnik wyłuskał z pęku właściwy klucz i otworzył przed Bebokiem podwoje magazynu. Na widok jego zawartości, spojrzenie Beboka pojaśniało niczym bezchmurna noc.

Droga powrotna była ciężka i męcząca. Bebok nie skarżył się ani słowem na ciężar wózka wypełnionego karbonitem i narzędziami. Pocił się, sapał, ale wytrwale parł naprzód, a w chwilach zwątpienia, przypominał sobie Marysię i młodego Rajmunda, poganianych przez żołnierzy. I ten upór domowego opiekuna, nie pozostał niezauważony. Truchlejące po zagajnikach Południce, spojrzały na świetliste od łez sierpy i zawirowały w powietrzu. Meluzyna, zawstydzona trudem Beboka zrobiła to, co potrafiła najlepiej. Zawodziła na wąskich nitkach Cedruni tak straszliwie, że wszystkie niemieckie patrole wzięły nogi za pas, pokrzykując przy tym Mein Gott, ratuj nas!

Stanął na skraju wioski o zmierzchu. Wokół siebie czuł podmuchy wiatrów, wytańczonych przez Południce. Zdruzgotane widoki, polne upiory zawyły potępieńczo, a potem pomknęły ku wiosce.

Było co oglądać. Południce wpadły między dogasające zgliszcza. Podsyciły wichrem płomienie, które strzeliły iskrami. Niemcy, zajęci umacnianiem pozycji i rabowaniem, wpadli w popłoch. Karabiny, których nie rzucili w błoto, wypadały im z rąk, wyrwane szybkimi machnięciami sierpów. Upiory szalały między ciężarówkami, zaśmiewały się trupimi szczękami. Wicher hulał, przewracał spanikowanych, strzelających na oślep Niemców. Trąby powietrzne podrywały w górę worki prosa, ciskały snopkami wyżej i wyżej!

Zamieszanie było pyszne. Niemcy rozbiegli się na cztery strony świata z błądzącą na twarzach i duszą na ramionach. Bebok nie mógł wymarzyć sobie lepszej okazji. Wślizgnął się do piwnicy tajemnym przejściem. Zgodnie z zaleceniami Skarbnika, rozmieścił po lasce karbonitu na każdej z kolumn, podtrzymujących strop. Skręcił lont, połączył w jeden i puścił między piwnicznymi szpargalami. Ukontentowany podziemnymi robotami, poszedł na górę.

Parter i piętro wymiotło

z wojska. Kuchnia wyglądała, jakby Południca urzędowała w niej przynajmniej ze dwie niedziele. Podobnie było w sieni i wielkiej izbie. Popłoch, z jakim Niemcy wzięli nogi za pas, sprawił, że Bebok choć wcale tego nie chciał, roześmiał się złośliwie.

Na górze poczłapał do pokoju małego Rajmunda. Zazgrzytał zębami, widząc w kącie szary plecak jeogrów i pozostawiony przy łóżku, stalowy hełm. Bebok zastrzygł gniewnie uszami, pełen nadziei, że Południca pognała wojaka przez pola w samych gaciach i przynajmniej raz, ukłuła sierpem prosto w rzyć.

Szczęściem, królik-zabawka Rajmunda został tam, gdzie zwykle odkładał go syn sołtysa. Nadgryziona zębem czasu maskotka, wpatrywała się w Beboka parą guzikowych oczu z dolnej półki. Stworek wspiał się na palce, sięgnął po zabawkę. I wtedy, długie, wystające z czupryny uszy stężyły. Wychwyciły ciężkie sapanie i niezgrabne kroki. Bebok ściągnął maskotkę, odwrócił się. Owłosioną mordkę wykrzywił grymas.

Przejście na korytarz zajmował Niemiec. Zwalisty oficer, przekrzywioną czapką sięgał framugi, a jego brzuszysko tak rozrastało się na boki, że ledwie mieścił się w świetle drzwi. Jego policzki i czoło lśniły potem, gruby wąs trząsł się jak spławik na tafli jeziora. Szarość munduru zdobiła szeroka szrama, spod której wylażała biel koszuli. Szrama, jaką ani chybi zostawił sierp Południcy.

– Tutaj jesteś, cudaku... – Wycedził przez zaciśnięte zęby. – Już mi nie czmychniesz, koboldzie!

Rozcapierzył łapska, runął przez próg gotów rozerwać Beboka na strzępy serdelkowatymi paluchami. Jednak opiekun domu nie raz ścigał się z Rajmundem i niejednokrotnie musiał rejterować przed sołtysową. Dał nura między szerokimi bryczesami. Prędko smyknął przez korytarz, zadudnił łapami o stopnie schodów.

– Wracaj tu, poczwaro! – Niemiec toczył się przez piętro, wprawiał schody w drżenie bliskie artyleryjskiej nawale.

Bebok nie obracał się, szybkimi susami przesadził się. Stanął przy otwartych drzwiach i schodach do piwnicy. Niemiec zszedł na parter, jego policzki nadymały się na wzór kowalskich miechów. Stworek wymieniał z oficerem spojrzenia pełne gromów, a potem zupełnie spokojnie zszedł na dół.

Oficer nie zwlekał, poszedł za nim. Ostrożnie stawiał kroki, znał ko-

boldy i ich spryt nie od dzisiaj. Złapał za oparty o ścianę pogrzebacz.

– Hop, hop! – Rzucił przymilnie. – No pokaż się, kudłaczu.

Odpowiedziała mu cisza.

– Przecież wiem, że mnie rozumiesz. – Oficer rozpiął górne guziki kurtki mundurowej, odetchnął głęboko. – Pogadajmy zatem...

Cisza.

– Wylaż cholero! – Ryknął oficer rozdzierając. – Złoję ci tylek, że cię sam diabeł w piekle nie pozna! Będziesz mu...

Bebok, który obserwował wszystko spomiędzy skrzynek, zrozumiał, dlaczego Niemiec umilkł. Zorientował się. Wbił spojrzenie w łaski karbonitu przywiązane do ceglanych dźwigarów.

– Ty piekielna cholero... – Wystękał.

– Tak, Niemiaszku... – Zaskrzeczał Bebok i przejechał sztormową zapalką po drasce. Skarbnik mówił, że się przydadzą.

Płomień błysnął w wielkich oczach Beboka. Ogień opadł na lont, sypnął iskrami. Stworek uśmiechnął się szeroko i bardzo paskudnie. Uśmiechem, który zarezerwowany był tylko dla wyjątkowo krnąbrnych dzieci. Następnie dał nura prosto w tunel.

\*\*\*

Huk sprawił, że jak na rozkaz przypadli do drzew. Łuna zagrała bursztynową poświatą, odsłaniając stoki i zagajniki Góry Świętej Anny. Alojzy Motyczka, widząc to, obliżał wargi, ścisnął mocniej, trzymany w dłoniach karabin. Zerknął przez ramię na towarzyszących mu powstańców.

– Nasi się coś pośpiechali! – Fuknął powstaniec w długim płaszczu, skubiąc wąsa.

– Ale dupło! – Dodał kolejny, przy szczycie wzgórza.

– Cisza! – Syknął Motyczka, przykładając palec do ust. Zatoczył ramieniem szeroki łuk.

– Idziemy, chłopcy. Święta Anna będzie nasza!

Jakub Pawełek

2/3 maja 1921 r., pałac w Czarnym Lesie, niedaleko Woźnik.

Ta majowa noc zapowiadała się całkiem spokojnie. Nic nie wskazywało na to, że będzie to moment, który historycy będą nazywać przełomowym, dzieci będą się uczyć o nim w szkole i zaważy na losach II Rzeczypospolitej. Pomimo późnego wieczora czuć było zapach majowego powietrza, zwiastującego wiosnę. Unosiła się woń kwiatów, a drzewa znajdujące się w parku delikatnie szeleściły od powiewu wiatru.

– Drogi Macieju, coś Cię tak trapi?  
– Zapytał dystyngowany jegomość, opierając się o drzwi prowadzące wprost na taras, na którym z wyraźną nerwowością Maciej „Nowina-Doliwa” Mielżyński palił cygaro.

– Cygaro, Panie Komisarzu? – Zapytał z wrodzonej grzeczności Pan Maciej.

– Nie, dziękuję, wiesz przecież, że nie palę. Wiesz też dobrze, że nie jestem już komisarzem plebiscytowym. Taka decyzja rządu. Przyjmuję. Dla dobra Śląska, dla dobra Polski – odparł Wojciech Korfanty.

– Dla mnie zawsze będzie Pan Komisarzem. Ślązacy nigdy nie zapomną tego, co zrobił Pan na rzecz plebiscytu i powrotu Górnego Śląska do Polski. A że nie wszystko poszło po naszej myśli...

– Dość! Nie zmienimy wyniku plebiscytu, ale też nie widzę sensu, żeby płakać nad rozlanym mlekiem. Dzisiejsza noc będzie kluczowa. Jutro 3 maja. Jedna z najważniejszych dla każdego Polaka rocznic. To takie symboliczne. Wtedy też naród polski upomniał się o suwerenność, podjął się trudnego dzieła naprawy Rzeczypospolitej, a uchwalona Konstytucja była światłem nadziei. Także i my, po raz trzeci chwycimy za broń, w imię wolności, w imię polskości, w imię naszej tożsamości. Wierzę, że tym razem będzie lepiej, że tym razem się uda.

– Stanie Pan na czele powstania? – Zapytał Maciej.

– Długo nad tym myślałem. Myślę, że ojczyzna mnie potrzebuje, potrzebują mnie ludzie, dlatego dla dobra sprawy zrobię to, ale pod jednym warunkiem – rzucił Pan Wojciech.

– Jakim? – zapytał z zaciekawieniem Pan Maciej, kończąc dopalanie cygara.

– Pod warunkiem, że Ty, drogi Macieju, zostaniesz Naczelnym Wodzem Wojsk Powstańczych – powiedział zdecydowanym głosem Pan Wojciech, kładąc rękę na ramieniu Pana Macieja.

– Ja? Nie jestem godzien. To zbyt duża odpowiedzialność. Nie wiem, czy sprostatam... A co jeśli sobie nie

poradzę? Historia mi tego nie wybaczy – gorączkowo odpowiedział Pan Maciej.

– Historia nie wybaczy Ci, że tego nie zrobiłeś. Znam Cię. Mam do Ciebie pełne zaufanie. Kto, jeśli nie Ty. Zresztą za późno jest na to, żeby teraz o tym dyskutować. Decyzja zapadła – szybko uciął dyskusję Pan Wojciech. Nadchodzi chwila próby. Ocenę nas historia. Zamknij drzwi, zasłoń okna i przygotuj łączność z naszym Teamem. Czy transmisja jest gotowa? Projekcja zadziała? Nie możemy sobie pozwolić na żadną wpadkę.

– Oczywiście. Każdy z członków naszego Teamu otrzymał specjalnego smartwatcha, który jest bezpośrednio podpięty pod łączność z naszą siecią. Mamy bezpieczną linię z naszym sztabem. W momencie, kiedy uruchomię transmisję, u każdego z użytkowników pojawi się projekcja. Będą mogli zobaczyć Pana w wymiarze 3D. A tym samym dotrzemy z przekazem do każdego – wyjaśnił Pan Maciej.

– Doskonale. O to właśnie chodziło. A czy drony są w pogotowiu? Musimy mieć dobre rozpoznanie, musimy być o krok przed wrogiem – dopytywał o szczegóły akcji Pan Wojciech.

– Każdy z dowódców Teamu otrzymał drona, z szerokokątną kamerą i podłączeniem do Internetu, dzięki czemu będzie mógł sprawdzać, czy na jego drodze nie pojawi się nieprzyjaciel, a jeśli nawet tak będzie, to wiedza ta pozwoli mu na odpowiednie przegrupowanie oddziałów. Każdy z żołnierzy Teamu wyposażony jest w specjalne niebiesko-żółte skafandry, które wykonane są z włókien, które dopasowują się do ciała. Do tego hełmofon, ze wbudowanymi bezprzewodowymi słuchawkami, które po-



Wiem – dziedzić, „Naokoło Świata” 1928, nr 46, s. 57. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.

zwalają na bezpośrednią łączność zarówno z dowódcą, jak i ze sztabem. W hełmofonie zamontowane są także okulary na podczerwień, dzięki czemu akcje będzie można prowadzić także nocą – zaczął relacjonować Pan Maciej.

– Wyśmienicie! A co z bronią? – dopytywał Pan Wojciech.

– Każdy żołnierz otrzymał ultradźwiękowy pistolet, który emituje taką ilość dźwięków, które w momencie ogłuszą przeciwnika. Co ważne, dzięki hełmofonowi, są zupełnie nieszkodliwe dla naszych żołnierzy – odpowiadał pewny siebie Pan Maciej.

– Wygląda więc na to, że jesteście gotowi. Wybiła godzina. Rozpoczynaj transmisję – rozkazał Pan Wojciech, siadając przed drewnianym biurkiem.

Wnętrze gabinetu zrobiło się ciemne. Rolety zakryły okna i drzwi tarasowe. Nad Panem Wojciechem zapaliło się punktowe światło, tak aby był w centrum uwagi. Z sufitu zjechał duży ekran LCD i rzutnik. Pan Maciej włączył transmisję i upewniwszy się, że sygnał jest prawidłowy, a łączność niezakłócona, skinął na Pana Wojciecha, dając sygnał do rozpoczęcia projekcji.

– Rodacy! (...) Jestem krwią z krwi, kością z kości Waszej, synem biednego ludu górnośląskiego, który od 20 lat cieszy się Waszym zaufaniem, który przez 20 lat walczy razem z Wami za prawa i wolność Górnego Śląska. Jako Wasz brat, zawezwany przez walczących powstańców, strajkujących robotników i w porozumieniu z naszymi partiami politycznymi, stoję na czele naszego ruchu (...). Musimy zrzucić z siebie wszelkie ślady jarzma prusko-niemieckiego. Zwycięstwo osiągniemy za wszelką cenę i nie ma

takiego mocarza na świecie, któryby nas mógł okuć ponownie w kajdany germańskie. Celem ujęcia żywiołowego ruchu zbrojnego w ramy organizacyjne, mianuję niniejszym głównym dowódcą hufców powstańczych powstańca Doliwę, któremu wszyscy komendanci, dowódcy i powstańcy winni są bezwzględne posłuszeństwo. Od tej chwili jesteście żołnierzami i czynicie, jak honor żołnierski nakazuje (...) – mówił donośnym i spokojnym głosem Pan Wojciech, mając świadomość doniosłości chwili<sup>1</sup>.

2/3 maja 1921 r., Częstochowa.

Choć była już północ, częstochowskie Aleje nie wyglądały na uśpione, zwłaszcza w pobliżu Seminarium Nauczycielskiego i Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza. Tuż przed placem szkoły zebrała się grupa kilkuset młodych ludzi, ubranych w niebiesko-żółte skafandry. Każdy pilnował swojego segway'a. W pewnym momencie zebranych wyszedł Mieczysław Gładysz, uczeń gimnazjum, harcerz, znany z pomocy dla powstańców śląskich, który walczył także w wojnie z bolszewikami. Cieszył się więc autorytetem wśród młodzieży.

– Kochani! Każdy z Was widział i słyszał Wojciecha Korfantego. Ojczyzna w potrzebie. Polska nas wzywa. Czas ruszyć z pomocą naszym Braciom Ślązakom! Czas przywrócić Górny Śląsk do Macierzy! Czas, raz na zawsze zakończyć tę walkę o polskie granice! Wzywam więc każdego z Was. Pójdźcie za mną. Na nic szkoła i podręczniki. To my dziś, tej nocy, piszemy historię. To o nas będą pisać w podręcznikach. Było pierwsze i drugie – teraz będzie trzecie i miejmy nadzieję, że ostatnie powstanie śląskie. Częstochowa nie może pozostać obojętna. A więc, komu bliskie są słowa wyhaftowane na polskich sztandarach – Bóg, Honor, Ojczyzna, niech ruszy za mną. Razem Bracia! Za mną! Niech Jasnogórska Pani ma nas w opiece – wzywał Mietek, który jako pierwszy chwycił za kierownicę swojego segway'a i ruszył przed siebie, dając tym samym sygnał pozostałym. Nie trzeba było długo czekać. Po kilku minutach częstochowskie Aleje opustoszały. Wszyscy członkowie Korfanty-Team, niczym jeden mąż, podążyli za swoim dowódcą. Dla Śląska. Dla Polski.

Adrian Musiał

<sup>1</sup> Manifest Wojciecha Korfantego do Ludu Górnośląskiego z dnia 3 maja 1921 roku, „Powstaniec Śląski. Jednodniówka wydana z okazji setnej rocznicy wybuchu III powstania śląskiego”, Gliwice, maj 1921 r.

# BOGUCICE

Ciepłe sierpniowe powietrze, w normalnych warunkach, umilałoby dzień mieszkańcom Katowickiej dzielnicy, podczas ich podróży do pracy i przy wykonywaniu codziennych obowiązków. Teraz jednak żar lata zamienił się w zaduch, połączony ze smrodem potu oraz wonią krwi, a słoneczny blask został zaciemniony przez roztaczający się między ruinami domów kurz. Trwały walki.

Śląsk miał być Polski. Z takim hasłem do boju ruszyli powstańcy, niosąc ze sobą pamięć o masakrze w „Mysłowicy” i wielką wolę walki, która miała dać im siłę potrzebną do stawienia czoła władzy okupacyjnej. Tak więc poszli. Szturm na Bogucice trwał od wczesnych godziny porannych i nasilał się, wraz z hukiem niemieckich dział artyleryjskich i polski karabinów plazmowych. Żadna ze stron nie miała zamiaru odpuścić, jednak to Polacy cechowali się większą determinacją. Młodzi mężczyźni, nieprzeszkoleni nawet do służby w wojsku, mając w głowie tylko marzenie o Polskim Śląsku, stanęli do równej walki z wyszkoloną armią niemiecką.

Jeden z nich – Kostecki – chciał się właśnie za ruinami dawnej poczty, przed niemieckim ostrzałem. Ledwie 19 lat skończył, lecz młoda twarz była w stanie zawrzeć pełnię lwiej woli, jaka mu towarzyszyła. Ubrany był po cywilnemu – koszula, spodnie na szelkach i buty, zakupione mu jakiś czas temu przez matkę. Uzbrojony był – a jakże – w karabin plazmowy ER-143, cud technologiczny, o którym Niemcy mogli jedynie pomarzyć. Broń przypominała Mausera nowszej generacji, jednak zamiast ładownicy na naboje, w karabin wczepiona była specjalna butla, wypełniona ciekłą plazmą. Kostecki schował się za ścianą zrujnowanego budynku, będącego ofiarą niemieckiej artylerii i czekał na odpowiednią chwilę. Po oddaniu strzału przez wroga młody powstaniec podszedł sprawnym krokiem do krawędzi ściany. Z pomocą noktowizorów był w stanie z łatwością dostrzec stanowisko przeciwnika. Naładował broń. Trwało to zaledwie kilka sekund. Chłopak wycelował i nacisnął spust. Błysk jasnoniebieskiego światła wystrzelił wprost w kierunku niemieckiego żołnierza. Słychać było tylko krzyk i eksplozję niszczącą pozycje Niemca, kończąc jego życie.

Kostecki westchnął, przeładował broń i odmówił krótką modlitwę w intencji zmarłego. Tak naprawdę nie przepadał za zabijaniem, jednak czy nawet najbardziej wrażliwy człowiek w świecie skąpanym krwią mógł pozostać obojętny?

Kostecki usłyszał odgłosy kroków. Obrócił się. Zza budynków wychodzili pozostali powstańcy. Na czele biegł dowódca – Tomasz Kotlarz, przez młodych patriotów traktowany z wielkim szacunkiem. Waleczny, oddany człowiek, który dbał o swoich ludzi – takimi słowami można było go opisać.

– Kostecki! – Krzyknął Kotlarz. – proszę mi natychmiast raportować sytuację. I zdejmijcie z siebie te okulary, wyglądacie w nich dziwnie.

– Dowódco, udało mi się zabezpieczyć teren w pobliżu Bazyliki i pobliskich ulic. Wedle mojego wstępnego rozpoznania, Niemcy prawdopodobnie stacjonują w szpitalu i tam osadzony jest ich punkt dowodzenia – odpowiedział młody powstaniec.

– Rozumiem – Tomasz Kotlarz westchnął i po chwili milczenia zwrócił się do pozostałych, otaczających go podwładnych. – Przydzielonym nam przez dowództwo zadaniem, jest zdobycie kontroli nad Bogucicami i utrzymanie jej do czasu przybycia posiłków. To kluczowy cel, jeśli chcemy w szybkim tempie opanować całe Katowice, a w późniejszym okresie, większość okręgu Górnośląskiego z jego hutami, kopalniami i aglomeracją miejską. Dlatego, że nasze zadanie jest tak ważne, przekazali nam najnowocześniejsze karabiny plazmowe i granaty klasy 1. Nie możemy zawieść. To sprawa ważna dla całego Górnego Śląska i naszej polskiej ojczyzny.

Młodzi wojownicy patrzyli na Kotlarza z podziwem i zachęcająco kiwali głowami. W ich sercach mocno osadzona była Polska. Chcieli najpierw wywalczyć dla niej terytorium, a potem ciężko pracować nad jej odbudowaniem. Kostecki myślał podobnie, przy czym zdecydowaniem i żar-

liwością dla sprawy ojczyzny śmiało mógł przewyższyć większość z jego kompanów.

Dowódca zaczął wydawać poszczególnym powstańcom rozkazy. Jego słowa były jasne, szybkie i zdecydowane. Nie mógł się zaważyć, zwłaszcza że lada moment mógł uderzyć na nich kontratak niemiecki, co oznaczałoby porażkę. Techniczna przewaga nie była w stanie zasypać w pełni różnicy w wyszkoleniu bojowym oraz liczbie żołnierzy.

Kostecki w międzyczasie podszedł do jednej ze ścian zrujnowanego budynku. Dzielnica była opustoszała, gdyż większość mieszkańców została wcześniej ewakuowana tunelami, wykopanymi przez polskich inżynierów pod nosem Niemców. Mieszkania, które jeszcze kilka dni temu pełne były ludzi, teraz stały się ruinami, zniszczonymi przez szaleńczy ogień artyleryjski. Widok tego, jak dzielnica Katowic obróciła się w jedno wielkie pole destrukcji, sprawiało mu ból. W pamięci przywoływał ciepło swojego domu rodzinnego, w którym czekały na niego siostra i matka. Wierzyli w niego, a on nie miał zamiaru ich zawieść. Polska na niego liczyła.

Kiedy Kostecki przyglądał się ścianie zniszczonego parteru, poczuł dziwne szarpnięcie. Nagle usłyszał silny wybuch za swoimi plecami.

Szybko się odwrócił, wyciągając broń gotową do strzału, a to, co zobaczył, szczerze go przeraziło.

Z jednego z mieszkań wyłoniła się budząca grozę bestia. Czteronożny stwór, którego Kostecki nie był w stanie nawet nazwać. Czarne rogi, pysk niczym u jelenia, ozdobiony długimi i ostrymi zębami. Sierść stworzenia miała barwę szaro-węglową, a głowę otaczała lekka, siwa grzywa. Głośnie warczenie oznajmiło przybycie bestii.

Powstańcy stanęli jak wryci. Odwagi do walki z Niemcami im nie brakowało, jednak teraz nie mogli się ruszyć. Przed sobą mieli bestię, której nie wyobrażali sobie nawet w najgor-

szych koszmarach.

Stwór nie zmarnował takiej okazji. Zwierzę podbiegło do stojącego najbliższego żołnierza i silnym ruchem pokażnej łapy, rzuciła mężczyznę o ścianę budynku, zabijając go na miejscu. Śmierć towarzysza spowodowała okrzyki przerażenia wśród pozostałych powstańców. Niektórzy ostrożnie cofali się, aby móc uciec jak najdalej od potwornego zagrożenia.

Jednakże los Polaków walczących o Bogucice nie mógł skończyć się w ten sposób. Jeden z powstańców wycelował w stworzenie karabin i w momencie, kiedy ten już miał ruszyć na kolejną stojącą jak słup soli ofiarę, trafił w bestię, powodując jej ryk. Wszyscy spojrzeli na miejsce po strzale, gdzie widoczna była rana.

Panowie! – Krzyknął strzelec, był to nie kto inny jak sam Tomasz Kotlarz. – Jesteście żołnierzami Rzeczypospolitej, dziedzicami wiekowej historii narodu, który nigdy nie złamał się przed najgorszym wrogiem! Chciecie mi powiedzieć, że ugniecie się pod pazurami tego zwierza? Teraz przyszła najwyższa pora, aby powiedzieć, że w końcu możemy być u siebie na swoim! Walczcie i nie poddawajcie się, udowodnijcie, że zasłużyliście, aby żyć w wolnym kraju.

Głęboko słowa te, trafiły do serc dzielnych bojowników. I choć Kosteckiemu dalej ręce drgały ze strachu, paraliż całego ciała zniknął. Odważnie i ze skupieniem wycelował w szukające się do ponownego ataku zwierzę. Za nim poszli kolejni. W bestię trafiły kolejne pociski z karabinów plazmowych. Poczwara zaczęła coraz mocniej zawodzić, nie będąc nawet w stanie się ruszyć pod wpływem morderczej broni. Ostateczny cios zadał dowódca, celnie rzucając granatem.

Bestia zamarła i padła na ulicę. Kostecki starł ręką pot z czoła.

*Dominik Majcher*



Wtem nieruchomy dotąd cierni cisnął w przestrzeń olbrzymie kontury ramion, „Naokoło Świata” 1928, nr 49, s. 44. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.

# JAK WOJTECH O ŚLĄSK WOJOWAŁ

W dniu Święta Konstytucji, 3 maja 2121 roku, trzynastcie dni po zakończeniu ochotniczej służby w szeregach odrodzonego Wojska Polskiego, na wieść o wybuchu III Powstania Śląskiego, Wojtech Korfanty idąc w ślady swojego wielkiego imiennika, wstąpił do jednego z powstańczych oddziałów. Była to druga kompania, pierwszego batalionu, ósmego pułku Infanterii Tarnogórskiej, należącego do Operacyjnej Grupy Północnej Wojsk Powstańczych, dowodzona przez komandera Alojzego Zgrzebnioła. Wraz z tą formacją brał udział w zażartych walkach toczących się w okolicach Strzebnowa, Wygody, Kamionki, Oleszki, Zakrzowa, a później Zalesia Śląskiego i Byczyny. (Tę część jego biografii upamiętniają powojenne oświadczenia innych uczestników powstańczego zrywu; otrzymane w 2158 r. Krzyż Powstania Śląskiego, a także biogramy oraz nekrologi znajdujące w zasobach cyfrowych Książnicy Górnos Śląskiej. W latach 2147-2149, a więc całkowicie innej rzeczywistości polityczno-społecznej piastował stanowisko Prezesa Zarządu Podokręgu Związku Weteranów Powstań Śląskich w Rydułtowach, ale to bardzo odległa historia...<sup>1</sup>).

Po przerwaniu zwycięskich działań powstańczych - na rozkaz przywódcy śląskiego powstańczego wojska Wojciecha Korfante - podjął także ważką dla dwudziestolatka decyzję rozpoczęcia zawodowej służby wojskowej na Platformie Armijnego Wspomagania Cybernetycznego jako informatyk drugiego stopnia oraz kronikarz powstańczego czynu. To m.in. jemu zawdzięczamy trzytomową epopeję „Historia Zrywu Powstańczego”, na kartach, której szczegółowo opisano historię Górnego Śląska, przebieg walk, a także skomplikowaną problematykę plebiscytową wraz z zakulisowymi działaniami dyplomatycznymi (nie wyłączając licznych sporów i kontrowersji wokół osoby charyzmatycznego wodza zwycięskiego powstania).

W tomie trzecim rozdział III młody Wojtech pieczołowicie odtworzył cały swój szlak bojowy, plasując indywidualną historię śląskiego bojowca

na tle epoki zmagania o polskość regionu<sup>2</sup>. W dalszych rozdziałach nie brakowało relacji innych powstańców, z których zwłaszcza wspomnienia dotyczące zmagania pod Górą Św. Anny tudzież bitwy pod Olzą przynoszą dowody niebywałego poświęcenia śląskich bojowników.

Na kartach kolejnych rozdziałów niemal z fotograficzną dokładnością, godzina po godzinie, dzień po dniu śledzimy poszczególne fazy walk. Falowe ataki Grenschutzu, zażartą obronę powstańczych pozycji, szarżę pociągów pancernych, wreszcie okupione licznymi stratami powstańcze kontrataki.

W sukurs Wojtechowi w tomie III rozdział IV przyszedł drugi z autorów, czyli Zygfryd Kajrys, faktograficznie prezentując zarówno rozpoczętą 23 maja 2121 roku bitwę pod Olzą, która zakończyła się ucieczką agresora na terytorium Bohemii, w czym walenie przysłużyły się oddziały wodzisławskie, jak i krwawą kampanię (21-26 maja) wokół symbolu, jakim dla obu stron jawiła się Góra Św. Anny. Warto przy okazji przypomnieć, iż choć co prawda sama góra pozostała po drugiej stronie granicy, lecz nieustępliwa postawa powstańców przyniosła w efekcie wymierne skutki w postaci powiększenia obszaru przyznanego Polsce. Wytyczenie zatem linii granicznej w pobliżu Szopienic wypada uznać za wymierny sukces strategiczny<sup>3</sup>.

Cofając się do wcześniejszych tomów, należy podkreślić synkretyczne ujęcie dziejów Górnego Śląska, czytelne kalendarium, wreszcie uwytknienie uporczywej walki Górnos Ślązaków o utrzymanie narodowego dziedzictwa, co stanowiło jeden z fundamentów trzech kolejnych powstań. Przy okazji malkontentom i krytykom powstańczych zmagania przeciwstawiono niewątpliwe zdobycze kolejnych zrywów jak choćby likwidację złowrogiej policji Sipo w ramach II powstania, czy też uzyskanie szerszego dostępu do tymczasowej administracji oraz miejscowych struktur bezpieczeństwa, co było pewnym zabezpieczeniem przed samowolą oraz

terrorem niemieckim.

W tomie drugim na podkreślenie z pewnością zasługuje rozdział poświęcony masakrze Mysłowickiej, obok aresztowań członków POW bezpośredniej przyczynie wybuchu szybko stłumionego pierwszego powstania. Wydaje się słusznym powzięta tam konkluzja, iż w pewnych przypadkach nic nie może powstrzymać z nagłą wezbranych emocji, zwłaszcza na bazie trudnej sytuacji materialnej, pogłębionej co najmniej nierównym statusem narodowościowym. Trafnie oddaje to rozdział ilustrujący ówczesne warunki życia polskich robotników w śląskich miastach. „Te wszystkie fabryki i place wchodzące w hałas spojrzeniem szarych barw, wagony ciężarówek rozciągane w siatkę szybkich ulic, pędzące w stronę dniówki spowitej tłustym pyłem. To taka wyzyskiwana przez niemiecki kapitał swoista pocztówka śląska, z rzadka okraszana na zasadzie „licencia poetica” niewielkimi wzgórkami moczki i kapusty modrej w znoju dnia powszedniego”<sup>4</sup>. Jedynym jasnym punktem jest ustęp poświęcony „godce”.

Tom pierwszy, by zakończyć niniejsze omówienie à rebours, kończy się ukazaniem sylwetki Wojciecha Korfante, nieustępliwego lidera śląskich aspiracji, posła, wicepremiera rządu Witosa, wodza zwycięskiego dla sprawy polskiej trzeciego powstania śląskiego, wreszcie potentata medialnego, tak zaciekle zwalczanego przez przeciwnie aspiracjom śląskiej autonomii ośrodki centralnej administracji mazowieckiej, od zawsze próbujące wizerunkowo zawłaszczyć niewątpliwe sukcesy regionu.

Cennym apendyksem do omawianej pozycji jest wydane w 2134 roku „Moje powstanie” Wojtecha Korfante, gdzie na przeszło tysiącu stronach szczegółowo dzieli się z nami swoimi powstańczymi wspomnieniami, barwnie kreśląc zarazem fresk tamtej epoki, przy czym za istną perełkę diarystyki można by uznać opis jednego ze starć z Grenschutzem<sup>5</sup>:

„Dopiero w drodze powrotnej, drogę zastąpili nam strażnicy graniczni. Dwa regimenty. Nie powiem, gula

wielka niczym golonka od razu stanęła w gardle. Wszyscy w bionicznych ostonach, do tego termiczne misiurki. Cisza, jakby nagle wyłączyli klimę w całym mieście! Zrazu oba pododdziały stanęły w oczekiwaniu na pierwszy ruch przeciwnika, zaś ustawione w funkcji „pogotowie bojowe” lasery lekko wibrowały. Pamiętam, że w pierwszej chwili nasza linia z lekka jakby się zachwiała. W pewnym momencie na awangardzie wyświetlono trailer. Był to sygnał do frontalnego ataku. Główny wysiłek natarcia poszedł na prawe skrzydło nepla. W odpowiedzi strażnicy odpowiedzieli salwą, aż się zrobiło sino od dymu, po czym wyprowadzili morderczy kontratak. Ze swej strony byliśmy na to jednak przygotowani i wbili nieustępliwym klinem w ich pozycję.

Nasze zmasowane uderzenie przyniosło w końcu efekty, bowiem w ich szeregi wkraść się chaos. Wkrótce poddali tyły. Zasłużone zwycięstwo było nad wyraz krzepiące. Na leśne kwatery szło się lekko, zaś ajntopf smakował jak nigdy”.

Dariusz Bednarczyk

1 E. i D. Bednar, *Wojtech Korfanty z Rydułtów*, Siemianowice Śląskie 2161, s. 24-25; Nekrolog Wojciecha Korfante, „Nowinki” 2175, nr 7, s. 1-2; Nekrolog Wojciecha Korfante, „Gazeta Pracownicza” 2175, nr 34, s. 2.

2 Z. Kajrys, W. Korfanty, Z. Szołtyś, *Historia Zrywu Powstańczego*, t. 3, Katowice 2130, s. 1956-1961.

3 Z. Kajrys, W. Korfanty, Z. Szołtyś, op. cit., t. III, s. 1962-1989.

4 Op. cit., t. II, s. 560-610.

5 W. Korfanty, *Moje Powstanie*, Bytom 2134, s. 410.

REDAKTOR NACZELNY: Łukasz Rosicki.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: dr Michał Spurgiasz, dr Malwina Wojtala, Rafał Piotrowski, Aleksandra Goniewicz, Katarzyna Kiołbasa.

AUTORZY TEKSTÓW: Grzegorz Czapski, Agata Francik, Matrcin Bartosz Łukasiewicz, Emil Zawadzki, Przemysław Karbowski, Kamil Bednarek, Małgorzata Sikora, Lisiol, Jakub Pawełek, Adrian Musiał, Dominik Majcher, Dariusz Bednarczyk.

SKŁAD I ŁAMANIE: dr Michał Spurgiasz, Katarzyna Kiołbasa.

ISBN 978-83-67490-01-6 Nakład: 2.000 egz.



Województwo  
Śląskie



Instytut Myśli Polskiej  
im. Wojciecha Korfante

Instytut Myśli Polskiej  
im. Wojciecha Korfante  
jest instytucją kultury Samorządu  
Województwa Śląskiego.